№ 34. Warszawa, dnia 22 (10) Sierpnia 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Odpowiedzialność lombardów prywatnych. — Z Galicyi p. Leszka. — Aspazya dramat w 5 aktach Aleksandra Świętochowskiego (Wł.Okońskiego).— Z Francyi p. P. — Utopie II. p. H. Biegeleisena. — Piśmiennictwo polskie: H. Ferri Szkoła pozytywna prawa karnego, przełożył Mikołaj Korenfeld; Pamiętniki Józefa Siemaszki opracował X. Dr. Chotkowski p. B. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. J. Nieborskiego. — Tydzień polityczny. — Belka w oku Albionu p. Józefa Niemira. — Cudze głosy. — Rada kolejowa p. L. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ LOMBARDÓW PRYWATNYCH.

Dwa wypadki kradzieży, jakie w krótkich odstępach czasu zdarzyły się — jeden w instytucyi dobroczynnej, drugi w lombardzie prywatnym — wysunęły na porządek dzienny sprawę odpowiedzialności zakładów pożyczkowych przed właścicielami skradzionych zastawów.

Przyjmujący zastaw nigdy nie udziela pożyczki w sumie odpowiadającej wartości przedmiotu, ponieważ do wypłaconej kwoty dolicza jeszcze procent, który zwykle pobiera z dołu, dalej procent za czas od uchybienia terminu do sprzedaży i możliwe ryzyko, wszystkie zaś te wydatki pokryć ma cena, otrzymana na licytacyi, a więc znacznie niższa od normalnej ceny sprzedażnej. Dodać należy, iż w praktyce każdy właściciel lombardu oblicza tę różnicę bardzo hojnie, w dwójnasób lub w trójnasób.

Niema więc wątpliwości, że kapitalista, który daje pożyczkę, jest aż nadto zabezpieczony od możliwych strat, nie mówiąc o tem, że w znacznym procencie, jaki pobiera, znajduje się już premium za ryzyko. Wobec tego słuszność wymaga, żeby właściciele zastawionych rzeczy posiadali również poważne ubezpieczenie swoich praw. Czy jednak interesy ich są w tej samej mierze uwzględnione? Prawnie — tak, faktycznie — nie.

Prawodawstwa wszystkich krajów przyjmują zasadę, że przedmiot zastawiony, pomimo czasowej utraty posiadania, należy do właściciela; obowiązujący u nas kodeks cywilny jasno i stanowczo zasadę tę stwierdza.

Autor artykułu w tej sprawie, zamieszczonego w *Gazecie warszawskiej*, widocznie wykształcony i biegły prawnik, umiejętnie zestawia przepisy prawa, określające odpowiedzialność osób przyjmujących zastawy. Niepowtarzając szczegółowej argumentacyi, zaznaczymy tu tylko ogólne jej wyniki.

Zastawnicy, a więc i zarządy lombardów, za szkody i straty, które wynikają z ich winy, odpowiadają przed właścicielami zastawów nie w sumie umówionej, ale według wartości rzeczywistej przedmiotów. Od odpowiedzialności nie uwalnia nawet ta okoliczność, że zastaw nie był wykupiony we właściwym terminie; od obowiązku zwrócenia wartości przedmiotu uwalnia tylko działanie t. z. siły wyższej (vis major), skutkiem której nastąpiła strata. Kradzież wszakże w rzadkich chyba wypadkach uważaną być może jako siła wyższa, ponieważ przeciw niej zawsze prawie zabezpieczyć się można za pomocą odpowiedniego dozoru, kontroli, asekuracyi itp. środków ochronnych.

Umowa specyalna co do wartości zastawionej rzeczy, chociażby była jasno wyrażona i przyjęta obustronnie, nie jest ważną, jeżeli sprzeciwia się ogólnym zasadom prawa, co właśnie ma miejsce w danym wypadku. Znaczenie jej polega tylko na unormowaniu wysokości pożyczki i po za ten zakres nie wychodzi. Niektóre prawodawstwa stanowczo nawet zabraniają czynić tego rodzaju zobowiązań, nasze nie wypowiada się tak dobitnie, niemniej wszakże z ogólnych zasad jego wynika, że dowolność umowy ma swoje granice, któremi są przepisy prawa i wymagania porządku społecznego i moralności. Każda umowa, która je przekracza, staje się nieważną. Nie ulega zaś chyba wątpieniu, że ani pogwałcenie prawa własności, ani pokrzywdzenie niezamożnych dłużników nie leżą w interesie moralności i porządku.

Bo w sprawie tej przedewszystkiem trzeba wziąć na uwagę, że klientami lombardów i wszelakich kas pożyczkowych, są zwykle biedacy, którzy zastawiają resztki mienia dla opędzenia koniecznych potrzeb. Ze względu na tę właśnie okoliczność, wyraziliśmy się, że jakkolwiek prawo dostatecznie zabezpiecza interesy właścicieli zastawów, w rzeczywistości jednak nie mają oni możności korzystać z jego obrony.

Nie łatwo bowiem ustanowić wartość straconej rzeczy, gdyby nawet sąd pozwolił dochodzić jej za pomocą takich dowodów, jak np. domniemanie, i w każdym razie pokrzywdzony otrzymać może zadośćuczynienie tylko na drodze procesu, która wymaga zawsze nakładu czasu i pieniędzy. Różnica między wartością rzeczywistą i umówioną zwykle prawie nie opłaci tych kłopotów, ale właśnie w tym wypadku krzywda będzie najdotkliwszą, bo najmniejsze różnice dotyczą tych przedmiotów, które posiadają najniższą wartość, tj. tych mianowicie, które zastawiają biedacy. Dla nich opieka prawa jest najczęściej bezużyteczną.

W nowej formie powtarza się tu znowu wątek starej, dobrze znanej historyi. Uprzywilejowany kapitalista nawet w razie własnej winy nie traci nic, upośledzeni biedacy za cudze niedbalstwo płacą resztkami swego mienia, a wzajemny stosunek między wierzycielem i dłużnikiem, między wyzyskiem i krzywdą reguluje prawo, przechylające się w zasadzie na stronę słabszych, ale w istocie bezsilne wobec możnych.

Nie wdając się w ocenę ogólnej strony tego faktu, schodzimy na grunt potrzeby bieżącej i zapytujemy: czy w danym wypadku nic już, bodajby na przyszłość, uczynić nie można?

Kradzież z lombardu nie jest prawdopodobnie ostatnią, zwłaszcza, że pozorne jej dokonanie stanowić może dobry interes. Teraz zastawy zabrał złodziej, ale

zdarzyć się również może, że usunie je właściciel, żeby zarobić na mniemanej kradzieży. Od właścicieli lombardów nikt nie wymaga i nie może wymagać szczególnych przymiotów moralnych, owszem, po większej części są to lichwiarze zwyczajni, a więc ludzie, którzy bardzo łatwo mogą dopuścić się występku. Należy więc w jakikolwiek sposób położyć tamę możliwym nadużyciom. Najlepszy środek polega na tem, aby oprócz umówionej, podawaną była rzeczywista wartość przedmiotów, ponieważ jednak zachodziłaby trudność w jej oznaczeniu, właściciel mógłby zapisać cenę dowolną. Od różnicy między ceną umowną a rzeczywistą, lub oznaczoną przez właściciela zastawu, lombard niechajby pobierał niewielki procent, tytułem składki asekuracyjnej. Z podobnym projektem spotkaliśmy się już w jednem z pism codziennych. Wykonanie nie znalazłoby przeszkód w praktyce, ale w razie rzeczywistej kradzieży lub innej utraty rzeczy zastawionej, lombardy przenosiłyby prawdopodobnie spór na drogę sądową. Dla zapobieżenia sporom i procesom jednocześnie potrzeba było by więc uzyskać wydanie odpowiednich przepisów. W ten sposób, nie zapobiegając wyzyskowi uprawnionemu, możnaby chociaż w części powstrzymać jego nadużycia, które przy obecnych warunkach przybierać mogą coraz szersze rozmiary. Złodziej pokazał oszustom drogę, na której robić mogą „dobre interesy“ z krzywdą tysięcy nędzarzy warszawskich, pomieszczających w zastawie jedyne swe mienie, jeżeli nazwę tę zastosować można do tych przedmiotów niewielkiej wartości, które jednak zbiorowo tworzą znaczną sumę. „W dobrze urządzonem państwie, powiada satyryk, nawet złodzieje zachowują miarę“ — nam nie idzie o nic więcej, tylko o urzeczywistnienie równie skromnego żądania: jeżeli istnieje wyzysk dozwolony w granicach prawa, niechaj przynajmniej linii tej nie przekracza. *P.*

Z GALICYI.

Lwów, w lipcu 1885.

Klęski elementarne. — Ich rozmiary w cyfrach.—Pożar Horodenki. — Powódź.—Środki zaradcze.—Nadzieja regulacyi.

Lato zaznacza się u nas corocznie szeregiem klęsk, powracających z nieubłaganą koniecznością. Grady, pożary i powodzie—oto plagi, które w tej porze nawiedzają biedny nasz kraj nieustannie a zawsze srogi ściągają haracz od wszystkich, o których tylko w swym pochodzie zawadzą. Niestety i w roku obecnym nie była Galicya wolną od niepożądanych odwiedzin. Nie wspomnę już o gradach, bo trudnoby mi było nawet wyliczyć miejscowości, w których one spadły; zresztą klęska ta jest u nas czemś tak codziennem, że się z nią zupełnie oswojono, a dzienniki zaledwie krótką poświęcają wzmiankę. Natomiast zanotować muszę inną, która ogromem swym przygnębiające sprawiła wrażenie; 2 lipca spłonęła Horodenka, miasto powiatowe w południowo-wschodniej części kraju. Ogień obrócił w perzynę przeszło 600 domów i pozbawił 4000 ludzi dachu i mienia. Tak strasznego pożaru dawno już u nas nie było; dałby się on zestawić w parze jedynie z przerażającą klęską grodzieńską.

Ale na tem nie koniec. Wkrótce po pożarze powtórzyła się znowu—szczęściem w rozmiarach znacznie zmniejszonych—w zachodnich powiatach kraju straszna przeszłoroczna tragedya: Wisła, Soła, Skawa, Raba, Dunajec i najrozmaitsze mniejsze rzeki górskie i potoki skutkiem długich deszczów wystąpiły z brzegów i zalały znowu spory kęs ziemi, niszcząc całe mienie mieszkańców, którzy jeszcze z przeszłorocznych klęsk się nie podźwignęli. Ucierpiały od powodzi najwięcej okolice Wieliczki, Wadowic, Myślenic, Nowego Targu i Nowego Sącza. Doprawdy, mimowoli przychodziło na myśl, że to sprawiedliwość dziejowa chciała w całej grozie ukazać skutki lekkomyślnego zwlekania ze sprawą regulacyi rzek naszych.

Jak zawsze, tak też i tym razem pospieszono ze wszech stron z pomocą. Wydział krajowy, rząd, cesarz (bardzo w takich wypadkach hojny), dalej gminy, stowarzyszenia i prywatne osoby rzuciły setki i tysiące złotych dla uchronienia ludności od nędzy i śmierci głodowej. Niewątpliwie litościwe dłonie złożą niejeden jeszcze datek na ten sam cel a każdy szlachetnie myślący człowiek czyn taki tylko pochwalić i naśladować może.

Ale czy taki tylko powinien być koniec całej sprawy? Czyż nie dość już gorzkich a tak drogo okupionych doświadczeń? Pod ręką mam właśnie dane urzędowe z roku ubiegłego, które wymownie świadczą, jak olbrzymią rubrykę ujemną w naszem gospodarstwie społecznem powodują tego rodzaju klęski. Oto w roku 1884 wynosiły szkody wyrządzone w Galicyi przez pożary 2,378,225 złr., gradowe zaś 3,722,430 złr.! Dodajmy do tego $12\frac{1}{2}$ miliona złr. szkód, spowodowanych przeszłoroczną powodzią, a mamy w bilansie naszego kraju okrągło $18\frac{1}{2}$ *miliona złr. strat*—w jednym roku. Cyfra iście przerażająca!

Powiedzmy jednak, że to był rok wyjątkowy, że w zwyczajnych warunkach cyfry powyższe zmaleją do połowy, trzeciej a choćby i czwartej części. Czyż kilka milionów złr. to bagatela w naszych warunkach? Czyż godzi się zapomnieć, że klęski przedewszystkiem dotykają najbiedniejszych i że, bądź co bądź, jest w ludzkiej mocy zapobiedz im choć w części i ograniczyć ich rozmiary. Nie zdaje mi się zaś, ażeby jałmużny ludzi litościwych, rządu i kraju były właściwymi środkami. Mają one bowiem tylko znaczenie chwilowe, nie są wytwórcze tylko spożywcze, a u nas nadto wywierają nawet pod pewnym względem wpływ niemoralny, gdyż systematycznie udzielane przyzwyczajają ludność do niezaradności, a dla rządzących stanowią wygodny sposób załatwiania spraw naglących.

Niech mnie nikt nie posądza że przemawiam przeciw zapomogom pieniężnym w wypadkach takiej niedoli. Bynajmniej—uznaję ich potrzebę ale tylko wyjątkowo, w chwilach klęsk nagłych o groźnych rozmiarach i skutkach, kiedy zachodzi potrzeba doraźnej pomocy. Natomiast jako system, jako stała rubryka w budżecie krajowym zapomogi takie nie są pożądane. Przeciwnie, ustawiczne grady, pożary, powodzie, powinny nauczyć naszych głęboko myślących mężów stanu, że obok polityki wiedeńskiej jest jeszcze niejedno u siebie, nad czemby pomyśleć i popracować warto, ażeby zaoszczędzić marnie idące miliony i podnieść stan ekonomiczny kraju. Nie mogą to być jednak plany, wypływające

---

10)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

AKT IV.

(W domu Peryklesa).

SCENA I.

Aspazya, Teora i Leja.

Leja.

Wiedziałam zaledwie o tem, że Perykles ostatecznie pobił samoszczyków.

Aspazya.

Czemuż więzili cię tak długo?

Leja.

Ciągle byli przekonani, że jestem Aspazyą, a pozory silnie utwierdzały ich w tem mniemaniu. Bo cóż to znaczyło, że przywiozłam do Miletu i złożyłam jego radzie zapisane przez Diotimę pieniądze na szkołę dla dziewcząt — to samo zrobić mogłaś ty, zwłaszcza, że to twoje rodzinne miasto i że przybyłam z Peryklesem.

Teora (*do Aspazyi*).

Dotąd Ateny obiega wieść, puszczona prawdopodobnie przez Elpinikę, że do wojny z Samos w obronie Miletu ty nakłoniłaś Peryklesa.

Aspazya.

Nie policzyłabym, ile z potwarczych ust spadło już na mnie szczypawek. Są ludzie, którzy poważnie utrzymują, że on wszystko robi z mojego natchnienia. Jakie ci ateńczycy mają nieraz wyobrażenie o tym wielkim człowieku, przypuszczając, że go jak dziecko wznoszę w górę, ażeby nad innymi był wyższym! Już łatwiej przebaczyć naiwność samoszczykom, którzy trzymając ciebie, sądzili, że ukradli Peryklesowi żonę a on jej nie poszukuje.

Leja.

Do końca w to wierzyli. Omyliwszy czujność naszych straży morskich i uprowadziwszy mnie z Miletu, tak byli uradowani tą zdobyczą, że tańczyli przede mną; a kiedy znowu nasza flota przypłynęła do Samos, ukryli mnie w głębokiem podziemiu, gdzie przesiedziałam dwa miesiące. Od niewolnika dowiedziałam się, że miasto było zdobyte, dawny rząd obalony...

Aspazya.

Perykles wyznaczył sowitą nagrodę temu, kto miejsce twego pobytu wskaże.

Leja.

To jeszcze bardziej musiało ich upewnić, że jestem Aspazyą.

Teora.

Dziwię się, że cię nie zabili.

Leja.

Może spodziewali się znacznego okupu. I widocznie dopiero gdy ich ktoś wyprowadził z błędu, wsadzili mnie na okręt i wywieźli do Syryi, ażebym tam zginęła i nie opowiedziała wam swej niewoli. Tymczasem — zawiedli się.

Aspazya.

Biedaczko moja, jakże los tobą miotał!

Leja.

A jednakże gdy pomyślałam, że ty chciałaś spełnić wolę Diotimy, że ciebie mógł porwać taki wicher — szczerze byłam wdzięczną losowi. Bo i cóż ja? Wątła trzcina w potoku, którą mocniejszy jego

z chwilowych wybryków fantazyi, ale szeroko pomyślany program reorganizacyi i poprawy całego gospodarstwa krajowego. A ile tu do zrobienia, ażeby lada grad, ogień lud woda nie zabrały znowu gorzko zapracowanego grosza! A więc staranna ochrona niszczonych ustawicznie lasów i systematyczne zalesienie kraju, pouczanie ciemnej ludności o korzyściach ubezpieczeń od gradu i zaprowadzenie przymusowego ubezpieczenia od ognia w miasteczkach i po wsiach, (jestem bezwzględnym zwolennikiem przymusowego ubezpieczenia od ognia w naszym kraju, wobec ciemnoty i zabobonności naszego ludu, które nie tak prędko ustąpią, tą sprawą zaś winien się zająć sejm, tworząc tanią asekuracyę krajową), dalej zakładanie i popieranie ile możności wszędzie straży pożarnych, ulepszenie budownictwa wiejskiego, ostra policya ogniowa itd.—wszystko rzeczy nieraz w formie życzeń już wypowiadane, ale po niejakim czasie dla wielkiej polityki zapominane lub odkładane... aż przypomni je pożar Horodenki i cały szereg innych klęsk. Może przecież ostatnie doświadczenia pewniejszy wywrą skutek, przynajmniej dzienniki donoszą, że Wydział krajowy przygotował już wnioski w sprawie policyi ogniowej i przedstawi je na tegorocznym sejmie.

Trudniejsza już sprawa z regulacyą rzek. Na to siły kraju nie starczą. Co najwyżej część kosztów może kraj przyjąć na siebie, a nadto mógłby spowodować i popierać utworzenie spółek wodnych w miejscowościach, gdzie koszta zbyt wielkich cyfr nie dosięgają, gdzie zresztą rząd przeprowadzenia regulacyi w swe ręce nie weźmie z powodu ściśle miejscowego znaczenia i skromnych rozmiarów przedsiębiorstwa. Próby na tem ostatniem polu już były w powiecie Mieleckim, a w najnowszych czasach polecił Wydział krajowy inżenierowi Blauthowi wykonanie studyów nad Pełtwią. Jeżeli ta sprawa doczeka się pomyślnego a rychłego załatwienia, to 80 kilometrowy obszar kraju, a w nim stolica niezmiernie odniesie korzyści.

Zaczyna tu wogóle świtać jakieś lepsze światełko. Na przedwstępne roboty wyznaczono 100,000 złr. (z tego Wydział kraj. 40 tysięcy) a w tych dniach namiestnictwo powołało cały szereg techników do wykonania generalnego projektu regulacyi i uskutecznienia pomiarów hydrometrycznych i wyznaczyło im siedziby urzędowe, mianowicie w Krakowie dla Wisły, w Przemyślu i Nisku dla Sanu, a w Sączu dla Dunajca. Wykonanie projektu regulacyi Wisłoka i Stryja powierzono dwom inżenierom cywilnym. Wobec tych wiadomości, z urzędowej strony ogłoszonych, mimowoli zapomina się o świeżo doznanych klęskach a z piersi dobywa się okrzyk: Nareszcie! nareszcie! Z przygotowań tych wynika, że rząd niewątpliwie regulacyę rzek galicyjskich poprze energicznie w Radzie państwa, a zdaje się, że tym razem wobec świeżych znowu nieszczęść i najwięksi wrogowie naszego kraju mniej będą opornymi. Oczywiście nie uwalnia ta nadzieja naszych panów posłów od obowiązku poruszania tej sprawy na sejmie i uchwalenia rezolucyi dla wywarcia lepszego nacisku i osiągnięcia pożądanego rezultatu.

Leszek.

Z FRANCYI.

Gyé-sur-Seine (Aube) 15 sierpnia.

Paryż i Francya. — Prowincye i prowincyonalny federalizm. — Lud wiejski. — Ruch emancypacyjny i bunty chłopskie. — Stan dzisiejszy drobnej własności włościańskiej. — Wieś francuska. — Jeszcze polityka wyborcza. — Ferry i jego zręczna gra.

Wyrwawszy się na czas jakiś z rozpalonych murów Paryża, przesyłam wam dziś korespondencyę, pisaną śród winodajnych stoków Burgundyi, o pięć godzin drogi koleją żelazną od stolicy Francyi.

Niejednokrotnie zwracano uwagę, że Paryż—to olbrzymie zbiorowisko ludności, liczące według ostatnich wykazów 2,800,000 głów obupłciowego zaludnienia, pochłania wszystkie soki całego kraju, jak nieproporcyonalnie wielka głowa osadzona na wątłym organizmie lub pasożytny polip, żyjący kosztem ciała, które owładnął i trzyma w swych żelaznych uściskach. Po strąceniu wiele na karb przesady z tych mniej lub więcej udatnych porównań, pozostanie jednak faktem, że zwykle za Paryżem nie widzimy Francyi. I nietylko my, lecz i sami francuzi, a właściwie paryżanie, po za ulubionem swem miastem widzą tylko letnie schroniska przed trapiącymi stolicę upałami, nadmorskie miejsca kąpielowe i rzadko rozsiane wille.

A przecież za Paryżem istnieje i żyje cały trzydzieśto kilkomilionowy kraj ze swemi potrzebami i wyobrażeniami, ze swym przemysłem i rolnictwem, ze swym ludem wiejskim i miejskim, rozrzuconym po różnych prowincyach—korzystajmy tedy przynajmniej z letniego gorąca, ażeby napisać coś o tej Francyi, rozciągającej się za rogatkami Paryża.

„Prowincyj“ nie ma właściwie we Francyi, odkąd zniosła je pierwsza Republika, podzieliwszy kraj szematycznie na pewną liczbę departamentów. Ten to właśnie centralizacyjny i jednoczący kierunek zapewnił stanowczą przewagę Paryżowi. Prowincye pozostały historycznem wspomnieniem i granice ich się zatarły. Czy możliwy jest jeszcze we Francyi, po kilku wiekach centralizacyi i nowoczesnym prądzie ku „ojczyznie jednej i niepodzielnej,“ jaki prowincyonalny federalizm—przesądzać trudno. Zaznaczamy jednak, że o wskrzeszeniu dawnych prowincyj marzą tu jeszcze reakcyoniści niektórych odcieni, że chodzi myśl ta po głowach niektórych postępowców snujących tradycye żyrondystów, że wreszcie ujawnia się nawet, lubo w odmiennej formie, w dążeniach radykalistów politycznych, zmierzających do decentralizacyi i autonomii.

Jeżeli mało ma widoków powodzenia administracyjny federalizm prowincyonalny, to mniej jeszcze zapewne liczyć mogą na takie odrodzenie plemienne odrębności, które z wiekami zanikły i dały w rezultacie jedną narodowość francuską. Ilość narzeczy jest wprawdzie tu jeszcze dość znaczna, gwary jednak ludowe (patois) ustępują szybko przed naporem miast, oświaty i kultury, wypływającej wielkiemi falami z paryskiego źródliska. Z narzeczy tych tylko prowensalskie, język dawnych trubadurów i heretyckich albigensów ma odrębną swą literaturę, do skromnych zresztą sprowadzoną rozmiarów. Ogranicza się ona na pewnej liczbie ludowych wydawnictw, a Związek feliberów uprawia tylko poezyę, podtrzymując tradycye truwerów. Feliberzy odbywają co roku zjazdy i poetyckie igrzyska, jest to jednak niewinną zabawą, nie mającą żadnych dalej idących zamiarów. O separatyzm też nikt tu ani prowensalów, ani bretonów, pielęgnujących także w ścisłem dość kółku swój język prastary, nie posądza i tamy rozwojowi tych prowincyonalnych odrębności nie kładzie.

---

prąd może wyrwać i unieść, a w miejscu, gdzie tkwiła, woda się zbiegnie i znaku nie zostawi.

Aspazya.

Obrażasz mnie i siebie, bo ja cię kocham a ty się lekceważysz. Niedobra.

Leja.

No, nie dolewajmy sobie miłości, bo nasze serca pełne. Cóż tu więcej słychać? Podobno Perykles uczcił poległych świetną mową, zaleconą uczniom w szkołach do czytania.

Aspazya.

Rzeczywiście, nigdy chyba nie był wymowniejszym. Gdy schodził z trybuny, wzruszeni mężczyzni ściskali go a kobiety wieńczyły kwiatami i wstążkami jak zwycięzcę na igrzyskach olimpijskich. Ojcowie, którzy stracili w tej wojnie synów, tak wspaniale przez niego wysławionych, rzucali mu się na szyję, łkając, a ich łzy tryskały promieniami radości. Powszechny zapał z najsmutniejszych serc zdzierał żałobę. Wobec niego wrogowie nasi mieli zaledwie odwagę milczeć.

Leja.

To dobrze. Cóż Elpinika — podkopuje się dalej pod was?

Aspazya.

Omdlała w objęciach Hermipa, który napisał jakąś komedyę przeciwko mnie i chciał na scenie wystawić, ale mu odmówiono. Ach, zapomniałam o szczególniejszym wypadku: rządca nasz kupił na targu młodą niewolnicę, która, jak się okazało, jest panieńską córką Elpiniki.

Leja.

I czyją?

Aspazya.

Polygnotos zapiera się ojcowstwa, ale potwierdza macierzyństwo. Stara niewolnica, która obecnie służy u Teory, a kiedyś służyła u Cymona, stanowczo utrzymuje, że on z siostrą, z Elpiniką, są rodzicami tej dziewczyny — ale to wydaje mi się zbyt niegodnem jego charakteru.

Teora.

I gustu.

Leja.

Ach, moje drogie, kto docieki, co jest tam nieprawdopodobnem i niegodnem tego świata czystych słów a brudnych czynów!

Aspazya.

W odwet za to, że Elpinika znikczemnia syna Peryklesa, ja uszczęśliwię jej córkę: posłałam ją do matki, ażeby od niej zażądała przywrócenia chociaż części swego obywatelstwa. W przeciwnym razie my się o to postaramy.

Leja.

Alež ta wiedźma oszaleje ze złości. Musi być zgnębiona, skoro pozwalacie sobie ją tak boleśnie drażnić.

Aspazya.

Niewątpliwie. Perykles panuje w Atenach wszechwładnie, jak tylko geniusz panować może. Naród czci go i uwielbia, rządzi sobą sam, używając wszystkich dobrodziejstw trwałego pokoju. Ateny — to już nie najbujniejsza gałąź śród Grecyi, lecz jej pień główny, z którego wyrastają najzdrowsze konary, to ognisko jej życia politycznego, to główny przybytek jej wiedzy i sztuki. Bogini mądrości, wyrzeźbiona przez Fidyasza, zdaleka widzialna, lśniąca złotem, marmurem i kością słoniową, ma prawo spoglądać dumnie z Partenonu, bo jest symbolem wielkości najznakomitszego z grodów, jakie kiedykolwiek osiadły na łonie ziemi.

Leja.

Czy areopag, archontowie, czy różne arystokratyczne ogniłki wymierają w społecznych ruderach spokojnie i nie kuszą się o odzyskanie władzy?

Wieś francuska ma swoją odrębną historyę, długą i nie wesołą. Lud nawet plemiennie przedstawia żywioł odmienny. Na tym celtycko-gallijskim podkładzie szczepili naprzód rzymianie swą cywilizacyę klasyczną, następnie zaś frankowie feudalizm. Rzymskie niewolnictwo przybrało formę germańskiego poddaństwa. Lud i z jednego i z drugiego nie był zadowolniony, znosił jednak jarzmo, od czasu zaś do czasu buntował się. Z epoki rzymskiej pamiętne są bunty tak zwanych „bagaudes,“ rozpoczęte pod dowództwem Heliusa i Amandusa, za Dyoklecyana, i powtarzające się następnie peryodycznie. Wieki feudalne przyniosły z sobą „żakieryę“ i bunty tak zwanych „gueux“ lub „pastoureaux.“ Ostatni ruch chłopski przypadł na dobę pierwszej Rewolucyi i ukończył się zupełnem uwolnieniem włościan od więzów poddaństwa. Poddaństwo zresztą, zaprowadzone we Francyi wcześniej niż w krajach Europy wschodniej, wcześniej też i istnieć przestało. Już w wieku XIII zaczyna się ruch emancypacyjny gmin wiejskich, a w początku wieku następnego prawodawstwo uznaje swobodę osobistą za prawo naturalne. Mimo to utrudniony i sporadyczny wykup z poddaństwa postępuje wolno, szlachta bowiem i władające ziemią duchowieństwo, usiłują wciąż lud utrzymać w zależności, od której uwolniła go dopiero ostatecznie pierwsza rewolucya.

Spalone wówczas i zburzone zamki feudalne i bogate opactwa nie podniosły się już z gruzów. Wyszła z nich wprawdzie „większa własność,“ jest to już jednak córa mieszczańska, wydana za zrujnowanego feudała. Obok tego nowego rycerstwa zakorzeniła się mocno we Francyi i szeroko rozsiadła drobna własność włościańska, która wyszła z dawnych gmin wiejskich. W kraju bezpośredniego głosowania powszechnego ta chłopska ludność miałaby głos poważny, gdyby składała się z żywiołów więcej rozwiniętych i mniej przywykłych do wodzenia na pasku administracyjnym. Oświata republikańska i świecka szczepiona od niedawna po wsiach francuskich zrobi zczasem swoje niewątpliwie, dziś jednak jest to rzecz dopiero przyszłości. W związku z tem politycznem stanowiskiem włościan francuskich stoi sprawa ulepszeń na polu gospodarczem, usiłowanie wyciągnięcia chłopów tutejszych z wiekowego zapuszczenia i rutyny, a szczególniej z egoistycznego, indywidualistycznego odosobnienia, które w nich zabiło zupełnie ducha solidarności i uczyniło niezdolnymi do wszelkich zbiorowych wystąpień. O tych jednak sprawach, w związku z ogólnem przesileniem francuskiego rolnictwa, pomówimy w korespondencyi następnej. Tu zanotujemy jeszcze kilka rysów charakterystycznych wsi francuskiej.

Wieś taka (village), jeżeli mam brać wzór z tej, w której obecnie przebywam—gatunek ten ma oczywiście swe odmiany—przypomina raczej nasze miasteczko. Domy murowane z twardego piaskowca, którego tu pełno do koła i który tworzy podglebie pól uprawnych i winnic — zazwyczaj piętrowe i kryte dachówkami. Koło domów ogrody, otoczone, jak zwykle we Francyi, wysokimi murami, co całej osadzie nadaje odrębną fizyognomię; ulic wiele, nie brukowanych oczywiście, bo sam grunt jest brukiem najtrwalszym. Gyé jest osadą, liczącą do tysiąca ludności i złożoną wyłącznie z właścicieli winnic (vignerons) i zatrudnionych w nich robotników. Lud ten pracuje wytrwale i nie leni się. Codzienne ubranie stanowi płócienna bluza niebieska, będąca we Francyi mundurem niejako klasy pracującej, i słomiany kapelusz. Chłopskie to jednak mieszczaństwo występuje w dni uroczyste w ubraniu paryskiego kroju i cylindrach, panie zaś i panny w sukniach według ostatniej prawie mody, jakie u nas w małem miasteczku noszą żony urzędników i oficyalistów. W środku wsi jest oczywiście kościół, spostrzegacz jednak z naszych stron przybyły zawiedzie się, jeżeli tam zechce obejrzeć ludność miejscową. Zaszedłszy na nabożeństwo niedzielne znalazłem samo kobiety, zapełniające kościół niezbyt szczelnie; wszystkie przytem siedziały w ławkach na miejscach płatnych. W jednym tylko kącie dostrzegłem garstkę mężczyzn przypruszonych siwizną. Gdym potem pytał jedną z gospodyń, dlaczego one tylko mają wyłączny przywilej uczęszczania do kościelnego przybytku, odrzekła mi najspokojniej w tonie informacyjnym, że *les hommes ne vont pas à l'église*—mężczyzni nie chodzą do kościoła, taki obyczaj. W ową niedzielę było to przytem święto miejscowego patrona, *la fête du pays*, a mimo to w kościele były pustki. Na odpuście takim kościół nie jest bynajmniej środkowym punktem zbornym. Inaczej zupełnie wyglądał jeden z placów wiejskich. Znalazłem tam zbiór różnych bud i zabudowań, zaimprowizowanych przez przedsiębiorców przejezdnych i zalotnie przybranych. Niczego tu nie brakło, począwszy od strzelnicy a skończywszy na karuzeli. Obok tego najrozmaitsze gry z fantami. Wszystko jak w Paryżu—14 lipca. Opodal urządzono salę do tańca, obszerną, na drewnianej podłodze, zresztą z żaglowego płótna, ładnie także przybraną. Na podwyższeniu siedziała orkiestra i tańczono przez parę dni wytrwale. Zabawy szły przyzwoicie, bez hałasów i niesmacznych wybryków. Lud tu zdrów i dobrze zbudowany; mówią czystym prawie językiem francuskim. Przy pracy i zabawie na posiłku dostatnim nie zbywa. Wino służy za napój.

Ludność przejętą jest w przeważnej swej większości zasadami republikańskiemi. We wsi znajdują się duże szkoły świeckie dla chłopców i dziewcząt, oraz szkoła utrzymywana przez siostry miłosierdzia, do której jednak mało dzieci uczęszcza, już choćby dlatego, że za naukę trzeba płacić, gdy w szkole gminnej jest ona bezpłatną. Na środku placu przed kościołem stoi olbrzymi wiąz, zasadzony jako „drzewo wolności“ za czasów pierwszej respubliki przez dziadów dzisiejszego pokolenia. Wieczorami pod drzewo to schodzi się młódź z całej wioski i tu wśród wesołych rozmów i zabaw urządzają wcale dobry chór śpiewacki. Największem powodzeniem—jak mam się sposobność przekonać codziennie—cieszą się pieśni patryotyczne, ułożone po roku 1870, w których najczęściej brzmią słowa *l'esperance, soldats de France*, obok pruskiej *l'insolence*. Pieśni te rozlegają się smętną jakąś lecz silną melodyjną skargą i są ziarnem, z którego jakiś przyszły odwet wyrośnie niewątpliwie.

Jeszcze polityka wyborcza. Temat to, który się zużyje nie prędko, wybory bowiem oznaczone zostały dopiero na dzień 4 października. Izba już zamknięta. W ciągu kilku ostatnich posiedzeń zaszło parę faktów nie bez znaczenia. Tryumfujący obóz radykalny za przedmiot swych pocisków przeciwko oportunistom obrał przedewszystkiem „politykę zaborów i awantur,“ czyli tak zwaną—politykę kolonialną. Otóż zdarzyło się—albo może rzecz tak zręcznie ułożono—że w ostatniej chwili Izba uchwalić miała kredyt na wyprawę, czy też tylko podtrzymanie dotychczasowych zdobyczy francuskich na Madagaskarze. Okazało się nagle, że honor Francyi jest na tej wyspie zagrożony i że potrzeba uchwalić bezzwłocznie 12 milionów fr. Prezes gabinetu przemawiał za wnioskiem, twierdząc że chodzi tu o utrzyma-

---

Aspazya.

Nie—skrępowani rozmarzają się wspomnieniami z przeszłości, ale teraźniejszość odstąpili nam.

Teora.

Jednak Tucydydes, ich wódz z wygnania powrócił.

Aspazya.

Przecież ten hałaśliwy bąk ze swem krótkiem żądełkiem dla nas niebezpiecznym być nie może. Taki nawet budzik jest potrzebny dla energii demokratów, ażeby nie usnęła.

Leja.

Gdzież Perykles tak spieszył, że ledwie mnie w przelocie powitał?

Aspazya.

Do Anaksagorasa, któremu ukochany synek ciężko chory i który z rozpaczy traci chwilami przytomność.

Leja.

On, chłodny filozof, z zamrożonemi uczuciami...

Aspazya.

Boleść potargała mu całą filozofię.

Leja.

Eurypides żałuje jeszcze Diotimy?

Aspazya.

Ożenił się i już znowu rozwiódł, bo go druga zdradziła.

Leja.

Ha, ha, ha. (*Wchodzi Perykles, prowadząc Anaksagorasa*).

SCENA 2.

Też, Perykles i Anaksagoras.

Aspazya.

Jakże się ma?

Perykles.

Usiądź Anaksagorasie (*do Aspazyi*). Umarł.

Anaksagoras (*zerwawszy się z krzesła*).

Umarł? On już nie żyje i nigdy żyć nie będzie? Wiązania świata pękają, ściany jego trzeszczą, wali się na mnie strop niebieski!... Niech mi rozgniecie piersi co prędzej! Ciężko!

Perykles (*sadzając go*).

Uspokój się, przyjacielu.

Anaksagoras.

Gdyby mnie chciał ogarnąć spokój grobu, gdyby mnie ziemia już wysysać zaczęła...

Perykles (*do Aspazyi*).

Nie spodziewałem się, że śmierć tego dziecka tak nim wstrząśnie. Chciał się zabić. Łagodź jego cierpienie, o ile zdołasz; ja muszę biedz do sądu, bo mu wytoczono proces kryminalny i przysłano wezwanie do stawienia się natychmiast. Teoro, Lejo idźcie do chorej jego żony i wyręczcie ją w pochowaniu zwłok. Sofokles i Fidyasz już tam są (*wychodzi z Leją i Teorą*).

SCENA 3.

Aspazya i Anaksagoras.

Aspazya (*zbliżając się do Anaksagorasa*).

Anaksagorasie, pogódź się z koniecznością.

Anaksagoras.

Komu i czemu potrzebną była ta konieczność? Żadna rozumna i czująca istota nie popełniłaby takiej zbrodni; tylko bezduszna natura mogła być tak okrutną. Gdyby ona miała świadomość swego czynu, wstrzymałaby przerażona wszelki ruch, pogasiłaby światła na sklepieniu niebios, okryła swe potworne oblicze całunem wiecznej nocy. Co to? Otacza mnie niezmierzona ciemność, a w niej świeci on... on!

nie tylko granic Francyi w całości, bo jeszcze pierwsza Rzeczpospolita zrobiła z Madagaskaru—departament francuski! Była to woda na młyn oportunistów, nastręczała się bowiem analogia z wyprawą tonkińską, gabinet przytem radykalny, w połowie przynajmniej—dawał swą firmę tej „polityce awantur.“ Radykalni przytem wcale niezręcznie wyciągnęli b. prezesa gabinetu p. Ferry'ego na mównicę, z której powiedział niezłą mowę na swe usprawiedliwienie. Gra prowadzoną była nader zręcznie, radykalni zostali pobici na gruncie kolonialnym i Izba kredyt uchwaliła.

Nie dość na tem. Ferry dał się zaprosić przez „radykalną demokracyę“ Lyonu na ucztę, w której wzięło udział 700 blisko osób. Zebranie publiczne byłoby rzeczą ryzykowną, uczta jednak była zupełnie bezpieczną. Ferry przyszedł powiedzieć radykałom lyońskim, że jest nie gorszym od nich radykalistą. Prezes zebrania podniósł w wstępnem przemówieniu zasługi b. ministra w tym samym Lyonie jeszcze za cesarstwa, kiedy Ferry występował tam jako obrońca w sprawach politycznych, mówił dalej o jego zasługach na polu świeckiego nauczania i o polityce antyklerykalnej. Ferry prawił długo. Oświadczył, że stojąc na czele rządu, przeprowadził wiele ustaw radykalnych, nie nazywa się zaś dlatego tylko radykalnym, że nazwa ta nie przystoi człowiekowi władzy. Radykalizm jest postępową awangardą, występuje z inicyatywą i apostołuje na korzyść pewnych idej—gdy sprawa dojrzeje, partya rządząca, biorąc wszystko pod uwagę, stara się upowszechnioną już zasadę wprowadzić w życie. Z tem jednem zastrzeżeniem Ferry przedstawił się jako skończony radykalista w swych przekonaniach i dążeniach. Rozbierając program radykalny, oświadczył, że nie zawiera on nic takiego z czem by się w zasadzie nie godził i czegoby sam nie przeprowadzał.

Jak widzimy tedy, Ferry, poczuwszy, w którą stronę wiatr wieje, postanowił współzawodniczyć z panem Clemenceau. Jakoż obaj teraz objeżdżają Francyę i obaj bronią jednego programu, pierwszy tylko robi więcej oportunistycznych zastrzeżeń i kładzie nacisk na utworzenie stałej i dość licznej większości rządowej.

Przyznać należy, że mowa Ferrego wypowiedziana w Lyonie była w całem znaczeniu tego słowa zręczną, jasno i logicznie wyłożoną, że umiała zjednywać i przekonywać.

P.

UTOPIE.

II.

Nowy gatunek romansów państwowych wywołał Robinson Defoego (*The life and surprising adventures of Robinson Crusoe*, Londyn 1719). Coraz to nowe odkrycia i zabory w Ameryce, w Indyach i na wyspach południowych rozogniły fantazyą ludzką. Umysły wzburzone ciągłemi wojnami i rozruchami, rwały się w obczyznę do śmiałych, awanturniczych przedsięwzięć, kto pozostał w domu, nadsłuchiwał i czytał skwapliwie opowiadania powracających z dalekich, nieznanych krajów. Takie opisy podróży i przygód z charakterem fantastyczno romantycznym albo więcej dydaktycznym, pouczającym były w całej Europie powszechne. W Niemczech np. naliczono Robinsonad w latach 1720—1760 do 70. Żadna wszakże nie dorównała w prostocie i artyzmie angielskiemu pierwowzorowi. Z całej powodzi głupstw i cudactw niemieckich zasługuje na chlubne odznaczenie L. Schnabla *Historya wyspy Felsenburg* (*Wunderliche fata einiger Seefahrer absonderlich Alberti Julii eines geborenen Sachsens* itd. (I 1728, II 1737, III 1743). Różnica między Robinsonem a wyspą Felsenburg tkwi w różnicy stosunków politycznych Anglii i Niemiec. Defoe, choć prześladowany i dręczony, widzi ojczyznę szczęśliwą, zna tylko niezmordowaną czynność i ciągłe korzystanie z chwili. Angielski Robinson jest małym światem dla siebie; od wynalazku do wynalazku krocząc, urządza na swej pustyni państwo z prawami i karami, w którem stara się urzeczywistnić ideał brakującej w jego kraju tolerancyi religijnej. Całkiem inaczej postępuje jego niemiecki naśladowca. W płaczu i boleści za swą zdeptaną i rozszarpaną Germanią odwraca się od smutnej rzeczywistości i zatapia się w sentymentalnych marzeniach o straconym raju patryarchalnego życia. Taką wymarzoną, szczęśliwą wyspą jest Inselburg, gdzieś na dalekim morzu, nieznana i nieprzystępna dla nikogo, która staje się potem siedzibą socyalistycznych urządzeń w duchu Morusa i Campanelli. Zasadniczym tonem tej idealnej harmonii społecznej jest pragnienie spokoju i świadome odwrócenie się od biedy, egoizmu i wiru światowego. Z dusznej, więziennej atmosfery odzywa się głos wolności i krzyk bolesny za naturą i naturalnością. Z wyspy Inselburg jeden krok tylko do *Contract social* i do Emila Rousseau'a.

Do rzędu Robinsonad, na wskroś przesiąkłych ideami mistrza genewskiego, należą Mikołaja Doświadczyńskiego *Przypadki*, dzieło znacznie późniejsze, bo wykończono przez Krasickiego w Berlinie 26 lutego 1775, nadzwyczaj popularne, dziesięciokrotnie u nas wydawane, naśladowane i tłomaczone (na język niemiecki 1776 p. t. *Begebenheiten des N. Doświadczyński*, na francuski przez Lavoisiera p. t. *Aventures de N. Doświadczyński* 1828). Przypatrzmy się bliżej ideałowi społeczeństwa Krasickiego. Osada Nipuanow zewsząd morzem oblana, miała stu dwudziestu gospodarzów; każdy z nich posiadał dom, pole i ogród, *wszystko pod równym wymiarem*. W odzieży i wygodzie *żadnej nie było między nimi różnicy*. Strój mężczyzn bardzo był prosty. Odmian mody nieznano: krój sukien od wieków panował jednaki. Nie ma u Nipuanów słów wyrażających kłamstwo, zbytek, kradzież, zdradę, podchlebstwo. Terminów prawnych nie znają, ale też ani dworaków, ani „jurystów,“ ani doktorów. *Pole należy do wszystkich w powszechności*; kolejno je uprawiają obywatele; a zboże na tyle części, ile osad w wyspie jest rozdzielone. „Gdy cząstka do osady przyniesiona bywa, robi się z niej chleb i ten na tyle kawałków, ile jest obywatelów w osadzie, podzielony, przy końcu żniwa każdy z wdzięcznością i uszanowaniem pożywa, na pamiątkę, iż jesteśmy *wszyscy zarówno* jednego ojca dzieci.“ „W zgromadzeniu naszem—powiada Xaoo nie masz żadnej innej zwierzchności politycznej, prócz naturalnej rodziców nad dziećmi. Okoliczności, wychodzące nad zamiar szczególnych familij, ugodnymi sposoby, radą, nie przemocą przez starszych uspokojone i rozrządzone bywają. Człowiek jednakowo z drugim człowiekiem rodzący się nie może, a przynajmniej nie powinienby sobie przywłaszczać zwierzchności nad nim; *wszyscy są równi*. Skoro zaś są złączeni w towarzystwo, na ten czas toż samo towarzystwo pozwala dla dobra swojego, w niektórych okolicznościach niejakiej nad szczególnymi

---

Aspazya.

Mistrzu kochany, pokrzep się nieco własną filozofią. Wszakże sam uczyłeś, żeśmy tylko zmienne kształty bytu, znikome fale na oceanie materyi.

Anaksagoras.

Zerwij mi ten pusty czerep, z którego mądrość pierzchła, i rozbij jak starą rynkę, w której się już nic nie usmaży. Tak, zmalałem, skurczyłem się, pozostało ze mnie zaledwie tyle, ile do objęcia żalu potrzeba. A jednak zdaje mi się, że ten żal wypełnia całą przestrzeń. Zwykle człowiek dowiaduje się lub przypomina sobie o jakimś organie wtedy, gdy go zaboli. I ja teraz dopiero czuję, że miałem za duże serce. W tem sercu otworzyła się bezdenna przepaść, w której wszechświat tak znika, jak kulka gradu w otchłani wulkanu. Na krawędzi krateru stoi blady duch mojego syna. Więc nie ja, ale płomienie stosu pogrzebowego uścisną i ucałują jego drogie ciałko? (*wstaje, chcąc odejść*). Nie dam!

Aspazya (*powstrzymując go*).

Bądźże przynajmniej mężczyzną, skoro już nie możesz być filozofem.

Anaksagoras.

Daruj mi...

Aspazya.

Sam jesteś złym uczniem swoim. W pierwszej cięższej próbie podarła się twoja nauka jak siatka pajęcza. Po co ty nią zasnuwałeś rozumy innym i sobie?

Anaksagoras.

W młodości nie rozdawałem po kawałku serca zalotnicom; odsunięty od świata zaoszczędziłem wielki zapas uczuć, których część wzięła żona, a z reszty złożyła się wielka miłość dla tego dziecka. Prędzej wyobrażałem sobie istnienie swoje bez jednego wymiaru, niż bez niego. Żebrałbym przy gościńcach, w skwary i mrozy nie okryłbym nóg i głowy nawet listkiem głogowym, w burzę nie schroniłbym się nawet pod makówkę polną — gdyby on mi za to żył. Umarł. Nikt tam nad gwiazdami pragnień ludzkich nie słucha, bo nikt by mojemu nie odmówił!

Aspazya.

Głos pragnień ludzkich jest najcichszym ze wszystkich, jakie brzmią w naturze, gdyż dolatuje on zaledwie do uszu blisko stojących przyjaciół. Po za nimi milknie lub nie silniej się odbija, niż szum igiełek cedrowych. Ani ty pierwszy, ani ostatni jesteś niewysłuchany; tysiące nieszczęśliwych przechodzą przez życie, które im wysusza ślinę a skąpi kropli deszczu na spieczone usta. Dźwignij się, mistrzu, pokaż, że piorun, który rozdarł serce, nie roztrzaskał ci głowy. Ty miałbyś paść na kolana i uderzyć czołem przed jego obydną mocą? Nie, Anaksagorasie, na takie upokorzenie jesteś zbyt wielkim. Nieubłagana konieczność zabiła twojego syna, ale całą swoją potęgą nie zapobiegnie temu, żebyś ją badał, nazwał ślepą, okrutną, bezrozumną.

Anaksagoras.

Istotnie, powinienem odwalić tę skałę, która się na mnie oberwała. On tak samo by mi poradził. O, bo w nim rodziła się piękna mądrość. Dziś jeszcze pytał mnie: czy już ukończyłeś swoje dzieło o naturze? za co cię pozywają do sądu? czy za to, żeś rozmyślał? Pocałuj mnie — rzekł — i wyciągnął schudzone ręce. Ciągle patrzą na mnie te rozszerzone źrenice... Może na nie jeszcze nie zsunęły się powieki? Może on nie umarł? Synku mój! (*płacze*).

Aspazya (*wzruszona*).

Płacz!... (*wchodzi Perykles z Fidyaszem*).

SCENA 4.

Ciż, Perykles i Fidyasz.

Perykles.

Przyjacielu kochany...

albo zgromadzeniu, albo niektórym ze zgromadzenia zwierzchności. *Podatków żadnych nie dajemy.* Cel towarzystwa jest: ubezpieczenie własności, gdyby tego było potrzeba jej bronić i ocalać każdemu w szczególności społeczność cała poślubiła." Wychowanie młodzieży proste, ale doświadczeniem stwierdzone. Podstawa jego: dokładne poznanie dziecięcia. Drugi stopień edukacyi zmierza do wykorzenienia złych skłonności poznanych przez nauczyciela, który w trzecim stopniu zasiewa wyczyszczoną już i uprawioną rolę zdrowem ziarnem. W czwartym i ostatnim przechodzi uczeń szkołę doświadczenia. Nipuani są zdrowi, silni i dochodzą 120 lat życia, przytem są dobrzy i sprawiedliwi. Nie znając kruszców żadnych, używają do rolniczych narzędzi ości ryb wielkich, które morze częstokroć na brzeg ich wyrzuca. Pierwszy dzień nowego miesiąca jest powszechnym spoczynkiem. Starsi się naówczas odwiedzają i „użytecznymi dyskursy bawią." Młodzież wychodzi w pole i różne czyni igrzyska, wszystkie służące do nabycia rzezkości i mocy. „*W tych igrzyskach oboja płeć równie się ćwiczy*" zawsze jednak w przytomności kilku starców i matron sędziwych, żeby żadnego wykroczenia „przeciw modestyi i uczciwości" nie było. Mięsa tak zwierząt jako i ryb na pokarm nie używają; nawet wierzyć Xaoo nie chciał, że my tem żyjemy. Z tej „obrzydliwości od mięsa" pochodzi, iż myśliwstwa nie znają, a zwierz tamtejszy bardzo łaskawy. Krów i wołów mają dostatek i te chowają w oborach dla pracy rolnej i nabiału. Wełnę owiec prawdziwie piękną i miękką dwa razy na rok strzygą, z tej niewiasty robią materye na odzież, kołdry i materace. Małżeństwa są dożywotnie, o wielożeństwie, żeby gdzie mogło być, Xaoo także nie chciał wierzyć. Pieniędzy nie mają, bo „złoto dogadzając zbytkom małej części obywatelów, za jednego szczęśliwego dziesięciu nędznych czyni."

Całe społeczeństwo Krasickiego jest, jak widzimy, mieszaniną nowych poglądów Russa i Woltera z przestarzałemi pojęciami dogmatyzmu księcia biskupa warmińskiego.

Nie wyżej stoją podobne powieści niemieckie. *Die Reise nach der Insel Caphar Salama und Beschreibung der darauf gelegenen Republik Christiansburg* (Esslingen 1741) jest typem protestancko pietystycznej budowy społecznej, opartej na zasadach ascetycznej pokory i rygoryzmu, tudzież na wspólności dóbr. Polityczne trylogie powieściowe Hallera: *Usong* (1771) *Alfred* (1775), *Fabius und Cato* (1774) bronią za plecyma Fenelona i Montesquiego zasad rojalizmu i arystokracyi przeciw równości i wolności Rousseau'a, a *Państwo Felicyi*, niby tłomaczone z francuskiego p. t. *Die glückliche Nation oder der Staat von Felicien* (1794) jest mieszaniną konstytucyjnego absolutyzmu.

Ojcem socyalistycznego urządzenia społecznego nie był, jak powszechnie utrzymują, Rousseau, lecz występujący na widowni literackiej znacznie wcześniej i o wiele dalej idący Morelly, którego prozą pisany poemat w 14 pieśniach p. t. *Naufrage des Iles flottantes ou la Basiliade de l'île Bilpai.* (Paryż 1753) spoczywa na silnych podstawach opozycyjnych socyalizmu. Autor nie gardzi tu nawet kazirodztwem. Szkoda tylko, że bawi się za długo osnową bajeczek z śmieszkami satyrycznymi, zamiast w jasnych zarysach wskazać swój dodatni obraz społeczeństwa, opartego na zasadach równości, wolności i wspólności. Obraz taki wykończony w najdrobniejszych szczegółach daje *Code de la nature* Morellego z 1755 i Mably'go *De la legislation ou principes des lois.* (Paryż 1776).

Kończymy pobieżny przegląd tych politycznych romansów słynną podróżą do Ikaryi komunisty Cabeta (*Voyage en Icarie*). Autor świadomy swego celu, dąży konsekwentnie do zupełnego przewrotu istniejącego stanu i do przeprowadzenia bezwzględnej równości, wspólności dóbr i pracy. Jestto skończony komunizm, obsypany tylko kwiatami sztuki i zbytku powszechnego. Wyobraźcie sobie bezpłatne teatra, wolne koleje, wspaniałe gmachy i pomniki. Miasto utrzymuje nawet 60,000 wierzchowców dla przyjemności swych mieszkańców. Wszystko należy do państwa, które obdarza wszystkich zarówno hojnie pozwolonemi i zakazanemi przyjemnościami. Nie brak i większych dziwactw. Książki np. można pisać w chwilach wolnych, ale tylko szczególne prawo pozwala na druk. Gazety, redagowane przez osobnych urzędników, zawierają tylko zdarzenia i sprawozdania — sądów wydawać nie wolno. Rząd jest demokratyczno-konstytucyjny. Przez wszystkie stopnie państwowego mechanizmu aż do gminy idzie podział na 15 wydziałów, z których każdy ma swój odrębny zakres działania np. ubiór, pożywienie itp. Ale dość już tych szczegółów.

Obejrzmy w końcu całość tego rodzaju utworów. Jaka z tych pism korzyść dla ludzi i umiejętności? *O bezpośrednim* pożytku dla życia nie może być mowy. Państwo zeszłoby na manowce, gdyby sobie wzięło za wzór poetyczne utopie. Miały wszakże te dzieła wpływ pośredni na społeczeństwo. Wszystkie niemal były w swoim czasie bardzo czytane. One to otworzyły ludziom oczy, z jednej strony krytykując i wyszydzając urządzenia społeczne, uważane dotąd za nietykalne, z drugiej odsłaniając ideał zdrowego organizmu społecznego, opartego na sprawiedliwszych zasadach... One wzięły w obronę najniższe pokłady społeczne, one rozbudziły litość i współczucie dla wydziedziczonych i zapewne nie jednego zachęciły do pomocy i zaradzenia złemu, one w końcu były źródłem i szkołą dla nowszych socyalistów.

Ale i pod względem naukowym położyły te powieści fantastyczne niemałe zasługi, nie tyle przez pozytywne urządzenia, ile przez bezwzględną krytykę ekonomii politycznej, uświęcającej wszystkie istniejące głupstwa i niesprawiedliwości, przez krytykę zmuszającą do podjęcia pracy u samych podwalin umiejętności. W takim składzie rzeczy, gdzie egoista i lekkomyślny przechodzi obojętnie koło największych zagadnień życia, a myślący patrzy na nie, jak na nierozwiązalną zagadkę, w takich wypadkach działa silny atak pobudzająco, a nowy obraz, choćby tylko złudliwy, daje wiele do myślenia, a nieraz zachęca do działania. Jeżeli instytucye polityczne tych marzeń poetycznych zostawiają wiele do życzenia—trudno bowiem połączyć poezyę z ustawą—to niektóre społeczne mają bezwzględną wartość, zwłaszcza reformy małżeństwa, własności a nawet i organizacya pracy. Poetyczne, obrazowe przedstawienie tych stosunków jest o wiele wyraźniejszem i dokładniejszem, niż logiczne, umiejętne rozwinięcie tego przedmiotu w ekonomice, bo każdy poszczególny rys obrazu zmuszał tu niejako autora do wykazania zależności od głównej myśli, a potem do zbadania tej myśli samej. Fantazya i intuicya poetycka wskazują nieraz drogi ścisłej umiejętności i sięgają tam, gdzie rozum nie sięga... Świat i dzieje były niesprawiedliwe dla tych utopij...

H. Biegeleisen.

Anaksagoras.

Żyje?!

Perykles.

Znieść musisz drugi straszny cios: Tucydydes oskarżył cię o jawne znieważenie religii i bezbożne tłomaczenie mitów, a na dowód złożył twoje pismo. Skutkiem tego sąd polecił cię natychmiast aresztować i zaledwie na moją prośbę wstrzymał wykonanie rozkazu do końca pogrzebu syna twojego.

Aspazya.

Więc ścięta głowa Meduzy odrasta? Więc walka nieskończona a polegli w niej zmartwychwstają?

Fidyasz.

Ostatnie drgnienia niedobitych.

Anaksagoras (*do Peryklesa spokojnie*).

Odprowadź mnie do więzienia.

Perykles.

Może byś już nigdy z niego nie wyszedł.

Anaksagoras.

Po co?

Perykles (*surowo*).

Anaksagorasie, nie popełniaj samobójstwa, bo nie na to tyle lat nieśliśmy z tobą chorągiew postępu, ażebyś dobrowolnie przebił się jej ostrym drzewcem, kiedy ją jeszcze trzymać możesz.

Anaksagoras.

Co mam zrobić?

Perykles.

Bezwłocznie wyjechać z Aten i zdala od nich czekać wyroku. W porcie stoi statek handlowy, który dziś odpływa do Mizyi — tam cię Fidyasz powierzy znajomemu sternikowi.

Aspazya.

O wszystko, co pozostawiasz, nie troszcz się. Żonę poślemy za tobą.

Anaksagoras.

I dacie jej urnę z popiołami syna.

Perykles.

Dobrze.

Anaksagoras.

One mi zastąpią ziemię ojczyzny. No, Fidyaszu, wyrzuć przepalony żużel z Aten, a ty Peryklesie donieś mi, że one, pozbywszy się mnie, są szczęśliwsze.

Aspazya (*podając mu woreczek z pieniędzmi*).

Weź, jak od córki. Byłeś mi przecie ojcem już wtedy, kiedy jeszcze ateńczycy ścierali z siebie wzgardliwie mój cień i nie chcieli oddychać jednem ze mną powietrzem. Kochaj mnie tak zawsze (*całuje go w głowę*).

Perykles (*ściskając Anaksagorasa*).

Przyjacielu... los cię nie odsuwa ode mnie, ale oddziera.

Anaksagoras (*do Fidyasza*).

Chodź już... Nigdy nie zobaczę syna, nie zobaczę was, może nawet żony, i na kogoż moje zmęczone i spłakane oczy patrzeć będą...

Fidyasz.

Biedny Prometeuszu, bóg znowu mści się za skradziony mu ogień mądrości (*wychodzi z Anaksagorasem*).

(D. c. n.).

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

H. Ferri Szkoła pozytywna prawa karnego, przełożył Mikołaj Korenfeld, Warszawa — Petersburg.

Wszyscy znamy ludzi, którzy doznają wielu przykrości i niepowodzeń dlatego jedynie, że im na chrzcie dano imię *Dydaka* lub że ich przodek nazwał się *Paskudzińskim*. Podobny wpływ na losy książek wywierają zwykle tytuły. Jeżeli zaś kobiety wierzą, że *Narcyz* musi być miłym a *Jerzy* wesołym, czemużby zwykli czytelnicy nie mieli przypuszczać, że *Szkoła pozytywna prawa karnego* — to niewątpliwie bardzo uczona i nudna książka. Otóż musimy przedewszystkiem zapobiedz takiemu domniemaniu. Jest to bowiem bardzo przystępna i bardzo zajmująca rozprawka o przedmiocie, który winien zajmować każdego myślącego człowieka — o odpowiedzialności prawnej za winy. Dawniejsza medycyna pojmowała i leczyła chorobę jako coś oderwanego, we wszelkich wypadkach jednorodnego; tyfus np. był dla niej postacią tak jednostajną, jak stępel na monetach, który może mieć drobne różnice w odcisku, ale w wizerunku pozostaje niezmiennym. Tymczasem obecna medycyna (nie partacka) nie zna chorób, ale chorych, to jest wypadki, które, chociaż należą do pewnej wspólnej grupy, przedstawiają tyle rozmaitości, że badane być winny szczegółowo. Podobnemu rozwojowi uległo prawodawstwo, które dawniej rozważało i karało ogólnie winy: kradzieży, zabójstwa itd., a dziś rozbiera je w każdej odmianie szczególowej. Analiza ta wykrywa nam trzy grupy czynników, wpływających na działanie przestępcy: *antropologiczne* (ustrój organiczny wraz z jego właściwościami duchowemi), *fizyczne* (klimat, natura gleby, pory czasu itd.), i *społeczne* (warunki życia zbiorowego). Czynniki naturalne wytwarzają fatalizm, stawią przed nami kwestyę wolnej woli, która, przy rozstrzygnięciu jej deterministycznem, znosi na pozór wszelką poczytalność. Pozoru tego nie usunął Ferri dość gruntownie, co mógł uczynić dotychczasową siłą filozofii, ale wyprowadził jedynie słuszną zasadę w karaniu przestępstw — zasadę odpowiedzialności *społecznej*. Antropologicznie, psychologicznie każdy jest niewinnym, ale społecznie—winni wszyscy. „Podróżny, napadnięty przez człowieka, nie będzie badał, czy ten jest obłąkany, czy nie, lecz broni się i zabija go; podobnie społeczeństwo, znalazłszy się wobec zabójcy, nie może obronę (?) swoją (?) czynić zawisłą od moralnej winy tego niebezpiecznego osobnika, lecz zawsze czyni go odpowiedzialnym za zabójstwo."

Wyprowadzone z tej zasady środki karne autor wstawia w następujący szereg: zapobiegające, wynagradzające, represyjne, usuwające.

Uczony włoski Garofalo wypowiedział myśl, że kiedyś urząd sędziego karnego zostanie oddzielony od urzędu sędziego cywilnego, gdyż pierwszy będzie musiał znać nietylko prawo rzymskie i cywilne, lecz nadewszystko: psychologię, antropologię, psychiatryę. Jest to myśl trafna i niewątpliwie w przyszłości się spełni. Już na wet czas, ażeby sędziami karnymi przestali być prawnicy, jako znawcy kodeksu i procedury.

Przekład broszurki, która nas tu zajęła, jest niezłym, ale mógłby być lepszym.

Pamiętniki Józefa Siemaszki opracował X. Dr. Chotkowski, w Krakowie 1885, str. 157, w 8-ce.

Przed dwoma laty wydała petersburska Akademia nauk pamiętniki i dokumenty, odnoszące się do Józefa Siemaszki p. t. *Zapiski Josifa metropolita litowskago* w 3 tomach. Pierwszorzędne to choć jednostronne źródło do dziejów nawrócenia unitów na łono kościoła wschodniego posłużyło ks. Chotkowskiemu do tendencyjnego „opracowania." W studyum tem, któremu nie można odmówić pracowitości, podobny jest ks. Ch. do owego Baalama, co się wybrał z przeklinaniem Izraela a mimowoli zakończył daniem świadectwa prawdzie. Bo jakkolwiek sądzić będziemy tego nowożytnego apostoła, nie można zaprzeczyć, że był to człowiek wielkiego rozumu politycznego i żelaznej energii. Syn księdza unickiego, długi czas wrogiego kościołowi wschodniemu, wychowany w seminaryum wileńskiem podczas najwyższego rozkwitu akademii, którą ks. Czartoryski, kurator tak urządził, aby—jak się wyraził—„przyszłe pokolenie oswobodzić od ultramontańskiego obskurantyzmu," wyrósł Siemaszko na wolnomyślnego i postępowego księdza, który reformując seminarya duchowne, stara się przełamać „wrogi duch zakonników" a zaszczepić „zdrowe prawdy i zasady" wpływa potem na skasowanie zbyt licznych klasztorów Bazyliańskich (z 80 na 20!) a zakonników uczy „obowiązków człowieka, obywatela, księdza." Jak widać z pamiętników, był twórca i wykonawca pomysłu zjednoczenia kościoła ruskiego—człowiekiem benedyktyńskiej mozolności. Przebiegając wszystkie stopnie hierarchiczne od kleryka aż do metropolity, pracował ciągle, nieustannie, nie tylko za siebie, ale i za drugich, a praca to była różnorodna, donośna i skuteczna. Główny owoc swych zabiegów zestawił w dwóch sprawozdaniach przesłanych synodowi 1837 r., świadczących o niezmordowanej energii działania. Samo dzieło przeobrażenia kościołów unickich przeprowadzał podług dobrze obmyślanego planu i z bezwzględną konsekwencyą.

Powstanie polskie musiało swym upadkiem zrodzić i polityczne zwątpienie. Siemaszko miał dziwnie zimną krew w przeprowadzeniu swego ideału; nie zapalał się, tylko działał wolno, ale tem skuteczniej. Przewidział, że duchowieństwo stawić będzie zrazu opór, ale że w obronie wiary nie wytrwa...

B.

LIBERUM VETO.

Pojedynek wodny. — Trzeci korzystający z tej walki. — „Kwestya społeczna" i dwa obozy. — Sprzymierzeńcy walczących. — Bajka o Mojżeszu i Łukaszu. — Jak rozumowano w Ryczywole. — Niepotrzebnie wsadzony nos opinii publicznej. — Sztukowana etyka. — Sprawa spadków aptekarskich. — Własność przywileju. — Adam Rzążewski.

P. Górnicki, właściciel „Mazura," wyzwał na pojedynek wodny p. Fajansa, właściciela wielu statków. Walczono naprzód figlami, które służba obu przedsiębiorców wzajemnie wyrządzała, a następnie cenami. Ta ostatnia broń bardzo podobała się publiczności: taksę bowiem przejazdu po Wiśle zniżano z obu stron tak szybko i tak znacznie, że mieszkańcom Warszawy i Płocka niedaleką wydawała się błogosławiona przyszłość, w której współzawodniczące parowce nietylko wozić będą podróżnych darmo, ale każdemu z nich dadzą bezpłatne jedzenie i wypiorą bieliznę. Ponieważ przysłowiowym „trzecim, który się cieszy," i — co ważniejsza — zarabia, był ogół, więc on nie przeszkadzał tym zapasom, owszem pragnął, ażeby się jak najdłużej przeciągnęły. Prasa, zapisując drobne w nich wypadki, uważała ten pojedynek za sprawę czysto prywatną i przed swój trybunał jej nie pociągała. Ale od czegoż w tym naszym dziennikarskim stawie pływają żaby, łaknące rozmaitych „kwestyj!" Olbrzymi dąb jest drzewem, ale i karłowaty jałowiec jest także drzewem. Czemuż by pierwsza lepsza burda nie miała stać się „kwestyą społeczną," czemuż by drobna kropla mydlin, rozdęta słomką, nie mogła stać się małym balonem? Potrzeba tylko słomki i — chłopca. Na nieszczęście w prasie naszej mamy chłopców wielu. Znalazł się też między nimi jeden — „głośny," bo kiedy był konduktorem kolei, nadkonduktor często jego nazwisko przed odejściem pociągu wywoływał — znalazł się, mówię, jeden, który natychmiast z walki pp. Górnickiego i Fajansa zrobił „chrześciańsko-żydowską kwestyę." Wprawdzie nie wyszła ona ze swego zaułka na plac publiczny, ale roznamiętniła przyjaciół stron wojujących. Od kilku tygodni spada na naszą redakcyę grad przeróżnych artykułów broniących i potępiających bądź „chrześcianina," bądź „żyda," a wszystkie „w imię prawdy i bezstronności" żądają miejsca w kolumnach naszego pisma. Nie będę rozpoznawał ani zasług p. Fajansa, który nabywszy zbankrutowaną flotyllę od hr. Zamojskiego, utrzymał w kraju ważną gałąź komunikacyi, ani też zasług p. Górnickiego, który, przełamawszy monopol, wywołał w niej zniżkę cen, nie będę oceniał obustronnych oskarżeń, lecz odpowiem wszystkim szan. korespondentom moim i fabrykantom „kwestyj" następującą przypowieścią:

Onego czasu był w Ryczywole kramarz Mojżesz Thon, który sprzedawał mydło po 15 kop. funt. Aliści obok niego usadowił się Łukasz Wyszka, który zaczął sprzedawać takież mydło po kop. 12. Wtedy Thon zniżył cenę na 10 kop. — toż samo uczynił Wyszka. Od czasu do czasu współzawodnicy, wyszedłszy przed swe sklepy, pluli przed siebie lub ku sobie, a ludność śmiała się i kupowała mydło tanio. Nikomu wszakże w całym Ryczywole nawet nie przyszło na myśl, ażeby z tej kłótni wytworzyć „kwestyę społeczną" — nie było żadnych „obozów," żadnych usiłowań wyprowadzenia sprawy „przed sąd opinii publicznej." Uważano ją bowiem za całkiem prywatną i naturalną. Co Thon robił z Wyszką, to Rotschild robi z Mendelsohnem, Kronenberg z Blochem, Fraget z Norblinem, Francya z Niemcami, a jeden kogut z drugim. U góry i na dole, między wielkimi i małymi toczy się — niestety!— mniej lub więcej spokojna, mniej lub więcej godziwa walka interesów, egoizmów, rachub — itd. Kto ją znosi w całej rozciągłości i potępia w zasadzie, ten chce świat przetworzyć i może go kiedyś przetworzy; ale kto piętnuje jakieś drobniutkie jej rozgałęzienie — ten godzien jest, ażeby go po śmierci włożyć w spirytus i zachować dla późniejszych wieków jako okaz człowieka z mózgiem w żołądku.

Tak rozumowano sobie w Ryczywole.

Otóż zdaje mi się, że rozumowano logicznie i że tę logikę moglibyśmy zastosować w sprawie Fajans *contra* Górnicki. Przeciwnik konkurencyi przemysłowej i handlowej wogóle — to człowiek z sensem, ale przeciwnik p. Fajansa lub p. Górnickiego — ogląda rzecz przez szczelinę korzyści jednostkowej.

Tych szczelin powinniśmy unikać, bo przez nie dostrzegamy tylko kawałki każdej rzeczy i do godności praw moralnych podnosimy brednie. Kapitalista, pożyczający na 5 procent, nazywa się w naszym języku „dobroczyńcą" lub człowiekiem „prawym," a pożyczający na 15 procent — lichwiarzem. A jednakże ów pięcioprocentowy dobroczyńca w zasadzie niczem się nie różni od piętnastoprocentowego lichwiarza. Podobnież miana: złodziejów, oszustów, wyzyskiwaczów—stosujemy zwykle do ludzi, trudniących się kradzieżą drobną i prostą, a zamieniamy je na tytuły łagodniejsze lub nawet zaszczytne przy działaniach większych i bardziej złożonych.

I ciągle zdaje nam się, że przez nasze poglądy socyologiczne przebiega jakaś nić łączna, że mamy jakąś jednolitą etykę, a my mamy zbieraninę miar i wag z rozmaitych miejsc i czasów. Jak nam wygodniej — stosujemy łokieć, stopę, metr, czy arszyn. Świat cały a my z nim dawno już nie przechodziliśmy gruntownej reformy pojęć moralnych, stoimy więc śród najostrzejszych sprzeczności, których nikt do ładu doprowadzić nie może. Człowiek, myślący logicznie, najczęściej chyba doznaje dziś uczuć zdumienia: zdumiewają go bowiem nietylko zagadki wiedzy, ale także straszny zamęt pojęć, jaki zapanował w życiu praktycznem. Gdybyśmy wyobrazili sobie olbrzymi kocioł, w którym dla nakarmienia licznych rzesz gotuje się mieszanina wszystkiego, co ziemia posiada, zacząwszy od świeżych mięs i owoców a skończywszy na kamieniach i padlinach, mielibyśmy w sferze fizycznej to samo, co się odbywa w moralnej, w której również żyjemy taką mieszaniną. Ludzie krają sobie kromki z bochenka Darwinowskiego, nakładają na nie udka prawomyślnych kretów — i zaręczają, że to kombinacya wyborna.

Niedawno na tem miejscu oświeciłem dolę pracy farmaceutycznej w służbie u kapitału. Odezwała się na to w wielu listach dziękczynnych praca, ale także w protestujących kapitał. Wysłuchajmy z kolei ostatniego o sprawie dziedziczenia aptek. W jego imieniu przemawia p. S. O. z Brańska tak:

Dopóki wogóle pobiera się procent od kapitału, dopóty nie mogą być od niego wyłączeni aptekarze. Kto nabył aptekę, powinien ciągnąć z niej zyski i przekazać ją dzieciom drogą spadku, jak kupiec swój sklep.

P. S. O. ma zupełną słuszność, ale o co innego nam chodzi. Sklep zwykły jest to przedsiębiorstwo, nieoparte na żadnym *przywileju* i reprezentujące jedynie wartość towaru. Nikt mi nie zabroni obok składu sukna założyć drugi skład sukna i współzawodniczyć z nim. Apteka, przeciwnie, jest przedsiębiorstwem wymagającem osobnego pozwolenia, a więc uprzywilejowanem. Że jej materyały, lekarstwa, słoiki, szafy itd. po śmierci ojca stają się własnością dzieci, to — w dzisiejszym ustroju społecznym — sprawiedliwe, ale niesprawiedliwem jest dziedziczenie przywileju. Korespondent nasz, broniący spadkobrania, opowiada o sobie, że dopełniwszy długoletnie oszczędności pożyczką, zapłacił 11,000 rs. za aptekę na prowincyi — czyli za co? Za artykuły lekarskie, słoiki, ważki itd. — za *towar?* Nie — i za *pozwolenie.* Tu właśnie — jak mówią niemcy — „leży pies pogrzebany."

W Paryżu zmarł wychowaniec Szkoły Głównej, z początku poważny badacz literatury polskiej, później rolnik, wreszcie literat okolicznościowy Adam Rzążewski, piszący ostatnio pod pseudonymem Aera. Króciutko był również korespondentem *Prawdy*, która wszakże z prac jego długo korzystać nie mogła z powodu nie dość starannego ich obrabiania. Straciwszy majątek, Rzążewski musiał piórem utrzymywać siebie i rodzinę — pisał przeto wiele i pospiesznie. W ostatnich latach życia otworzył sobie dla swych artykułów szersze ujście w prasie warszawskiej, którą darzył nawet utworami beletrystycznymi dość ciężkiego kalibru. Rzążewski mógł zostać uczonym, gdyby był poszedł za pierwszym popędem swego umysłu, ani zaś publicystą, ani powieściopisarzem nie był, gdyż brakło mu talentu. Był wszakże pracownikiem bardzo użytecznym. Zwłaszcza gdy porzucił te dziedziny życia, których jako korespondent dotykać musiał, a których dostatecznie nie znał—mianowicie politykę, socyologię, filozofię—gdy zwrócił się do studyów literackich, składał z nich piśmiennictwu daniny pożądane. W każdym razie był to człowiek wykolejony i złamany, a chociaż nie mieliśmy sposobności ocenić jego charakteru, uczuwaliśmy zawsze sympatyę dla jego nieszczęść, sympatyę dziś tem większą, że umarł młody i prawdopodobnie udręczony myślą o losie żony i dzieci, jeśli im przyszłości nie zabezpieczył. Za wczesna to mogiła i za bolesne może łzy na nią padną.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Mądry polak po szkodzie. — Towarzystwo kredytowe dla miast. — Sprzeczność interesów. — Kwestya cygańska. — Szwedzi w Szawlach. — Oryginalna działalność policyi sanitarnej.

Ponieważ zawsze polak—mądry po szkodzie, więc też dopiero po znacznych stratach, jakie w tym roku zrządziły grady, ten i ów pomyślał, że dobrze było by jakim sposobem ubezpieczyć się przeciw tej klęsce. Z nawoływaniem w tej sprawie pospieszyła pierwsza, spóźniająca się zawsze w rzeczach naukowych o lat sto, a w społecznych — o dwa lub trzy lata przynajmniej, *Gazeta warszawska.* Radzi ona wzajemne ubezpieczenie, obowiązkowego bowiem pozyskać niepodobna. Przed ośmiu laty projekt Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od gradu znalazł od razu poparcie kilkuset „najznakomitszych obywateli kraju z czcigodnym prezesem Tow. Kr. Z. na czele," nie został jednak zatwierdzony. Ówczesne niepowodzenie *Gazeta* przypisuje „nieumiejętności starań," co w przekładzie na zwykły język oznacza, że w wybranem gronie „najznakomitszych obywateli" wraz z „czcigodnymi prezesami" nie znalazło się ani jednego człowieka, któryby miał dosyć dobrych chęci do energicznego poparcia projektu, ani — dosyć dobrą głowę dla poparcia umiejętnego. Nie „najznakomitsi" ale zwyczajni ziemianie w niektórych okolicach kraju potrafili choć w części zapobiedz szkodom, stowarzyszając się w związki, nie przekraczające granic powiatu. Rydz ten lepszy, niż zupełna bezczynność — ale za drogi. Poprzednio już wykazywaliśmy konieczność utworzenia Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od gradu, które objęłoby kraj cały; nie powtarzamy więc, znanych zresztą dowodów, podkreślamy tylko raz jeszcze nasze zdanie, że najłatwiej wytworzyć taką instytucyę przez stowarzyszenie solidarne kółek powiatowych. Jest to jedyna praktyczna droga, chociaż szczegółowe wytknięcie jej wymagać będzie jeszcze wiele pracy, droga pewniejsza w każdym razie, aniżeli wiara w dzielność i umiejętność „najznakomitszych obywateli z czcigodnymi prezesami na czele," lub w gorliwe i szczere poparcie projektu przez Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu, które nie umiało dotąd przeprowadzić ani jednego wniosku, bezpośrednio dotyczącego zadania swego. Jeżeli zaś nie bardzo troszczy się o koszulę, tem mniej dbać będzie o kaftan, zwłaszcza, że pomiędzy członkami wspomnianej instytucyi znajdują się w komplecie inspektorowie, akcyonaryusze itd. prywatnych towarzystw asekuracyjnych. Wogóle zaś spodziewać się, że kapitaliści życzliwie przyjmą myśl, której urzeczywistnienie sprzeciwia się ich interesom, jest to posuwać naiwność do tych kresów, po za którymi pozostaje nawet wiara w energię „czcigodnego prezesa" i w rozum „najznakomitszych obywateli."

Nie łudzę się również, że Towarzystwo popierania przemysłu i handlu otoczy ojcowską opieką projektowany syndykat, któryby działał w imieniu towarzystw kredytowych miejskich. Jak wiadomo czytelnikom naszym, Lublin i Kalisz otrzymały już pozwolenie założenia oddzielnych towarzystw. Sprawa ta przechodziła podobne fazy, jak i wzajemne ubezpieczenia od gradu. Jedni machnęli ręką, twierdząc, że nic zrobić nie można, bo towarzystwa oddzielne będą za słabe, inni zaś rozpoczęli nowe starania, łudząc się, że Lublin lub Kalisz mogą stworzyć własne instytucye finansowe. Oba te miasta, otrzymawszy pożądaną koncesyę, znalazły się teraz w kłopotliwem położeniu: skąd wziąć potrzebny kapitał, jakim sposobem zapewnić listom kurs na giełdzie warszawskiej? Na szczęście znaleźli się usłużni posiadacze milionów, co „dla dobra ogółu" obiecali zakupić hurtownie wszystkie listy, dla których potem ci sami pośrednicy postarają się o kurs odpowiedni. Obietnicy tej można wierzyć, bo *różnica* kursu stanowi nagrodę za „przysługę obywatelską;" tylko wątpliwem jest bardzo, a raczej już niewątpliwem, że miasta źle wyjdą na tej operacyi.

Miasta wierzą, że finansiści pospieszą im z chętną pomocą w imię „dobra ogółu." *Gazeta warszawska* wierzy, że ci, którzy żyją z pensyj i dywidend wypłacanych przez prywatne towarzystwa ubezpieczeń, wykopią dobrowolnie grób dla tych instytucyj, a cała prasa, zwłaszcza w chwilach dobrego humoru, powtarza przykazanie poetyczne:

Jeden tylko, jeden cud:
Z szlachtą polską — polski lud
Jak dwóch chórów zgodne brzmienie..

Dźwięki tego koncertu dochodzą do uszu publicystów warszawskich niewyraźne i stłumione, jakby przez mikrofon Ochorowicza; trudno więc nieraz schwytać dysonans zgrzytliwy. Ale w piosenkach, które śpiewają korespondenci prowincyonalni, rozdźwięk ten dwóch chórów brzmi bardzo głośno.

Nie wiem z jakiej racyi, ale od pewnego czasu przemysł drobny, włościański pozyskał względy i opiekę prasy, których wykonanie przelała ona na urodzonych przedstawicieli narodu, tj. ziemian. Do nich stosowano odezwy, posyłano kwestyonaryusze itd. Rzeczywiście w gronie obywateli wiejskich znaleźli się ludzie, którzy chętnie zajęli się tą sprawą, niezmiernie ważną dla podniesienia dobrobytu ludu. Ale były to jednostki wyjątkowe, w których stanowisko obywatela nie zabiło obywatelskich uczuć. Reszta, ogół cały pozostał albo obojętnym, albo przeciwnym popieraniu przemysłu drobnego; do tej drugiej kategoryi należą ludzie, którzy dobrze rozumieją swój interes stanowy. Jeden z nich wypowiada otwarcie w *Gazecie warszawskiej* swe zdanie: „Wobec ciężkiego krachu dla produkcyi rolniczej, przez który obecnie przechodzimy i ciągłych nawoływań o zmniejszenie kosztów produkcyi rolnej, jakże dziwne są w niektórych pismach jednoczesne skargi na ziemian naszych, że nie pracują nad rozwojem drobnego przemysłu wśród ludności wiejskiej, który przecież, odejmując ręce od roli, wpłynąć by musiał na podrożenie tej produkcyi."

Tak przemawia człowiek szczery, zapewne nawet uczciwy, chociaż nie dorósł do miary bohatera, który pojmuje jasno swoje stanowisko ekonomiczne. Niepotrzebnie więc tłomaczy się, że pogląd jego wydać się może egoistycznym i zacofanym. Bezwątpienia, jest to zdanie egoistyczne, ale zgodne z obecnym stanem cywilizacyi i w sformułowaniu naukowem brzmi ono tak: każdy kupujący stara się nabyć towar (praca również jest towarem) po najniższej cenie. Rozumie się, sprzedający pragnie znowu zbyć swój towar jak najdrożej. Ta sprzeczność interesów tworzy węzeł, który gdzieindziej najtęższe głowy usiłują napróżno rozplątać, albo radzą rozciąć go

odrazu. Nie znają widocznie recepty naszej:

Jeden tylko, jeden cud:
Z szlachtą polską—polski lud.

Tylko że lud nie pragnie iść tą „drogą kłamną“ i depcze sobie własne ścieżki, a nawet szlachta rozumie już, że przed nią także inny gościniec bieży. Drogi te przecinają się z sobą nieraz, ale nigdy się nie schodzą.

Mieliśmy tyle już przeróżnych „kwestyj,“ że nikogo nie zdziwi nowa—cygańska, wygrzebana dla urozmaicenia pory ogórkowej. Jednocześnie prawie podnoszą ją w odmienny sposób *Gazeta polska* i *Gazeta radomska*.

Cyganie słynęli oddawna jako wytrawni złodzieje. Czyny ich, głośne niegdyś, zbladły jednak wobec współzawodnictwa „żywiołów rodzimych.“ Chrześcianie i żydzi zdobywają się na takie pomysły złodziejskie, wytworzyli taką wyborną organizacyę występku, że w porównaniu z ich działalnością sztuczki cygańskie wyglądają jak sprawki dziecinne. W walce konkurencyjnej „rasa niższa“ musi uledz, broni się jednak jak może, skupiając się w liczne gromady. Bandy te, dochodzące do stu osób, włóczą się po całym kraju, kradnąc i rabując w sposób patryarchalny, nie mniej jednak dla spokojnych mieszkańców dotkliwy. Wobec liczby policya wiejska jest bezsilną i obojętnie patrzeć musi na bezprawia.

W rodzinie złodziejskiej cyganie są gatunkiem słabszym, który dawno już uległ by zagładzie, gdyby nie posiadał pewnych, „pożytecznych“ w walce o byt właściwości. Jedną z nich jest zdobyta w życiu tułaczem umiejętność wymykania się z rąk sprawiedliwości. Zdolność ta nie pozostaje wciąż w formie pierwotnej, ale przystosowuje się do warunków otoczenia. O przystosowaniu takiem opowiada *Gazeta radomska*. Za pomocą dowcipnej manipulacyi i przy pośrednictwie pisarzy gminnych cyganie zapisani są jednocześnie do ksiąg ludności w kilku gminach pod rozmaitemi nazwiskami. Zatrzymany za kradzież, dajmy na to w gubernii radomskiej, Dybalski ucieka z kozy i już jako Kowalski operuje w gubernii lubelskiej, schwytany tam, umyka znowu i pod nazwiskiem Todorowicza wypływa legalnie w gubernii siedleckiej. Ponieważ każdy prawie cygan posiada kilka prawdziwych paszportów, a mieszkańcy gminy, do której jest przypisany, nie znają swego, wiecznie włóczącego się współobywatela, może więc spokojnie zmienić nazwisko i ukrywać się od kary.

Zapewne, że należałoby pomyśleć o osiedleniu tej ludności koczowniczej i rozciągnięciu nad nią bacznej kontroli, ale jak już powiedzieliśmy, wobec wzrostu złodziejstwa rodzimego, kwestya cygańska jest drobnostką, która nawet w porze ogórkowej nie nabiera wielkiego znaczenia, bo i wtedy nie może iść ona w porównanie z działalnością złodziejów „naszych.“

Kiedy już mowa o żywiołach obcych w naszem społeczeństwie, czy słyszeliście cokolwiek o „szwedach“ w Szawlach? Korespondent jednego z pism rosyjskich podaje liczbę ich na 500 głów. Nie są to jednak synowie Skandynawii, ale dzieci chłopów żmudzkich. Włościanie miejscowi chętnie bardzo posyłają dzieci do szkół, ale gimnazyum przyjmuje ograniczoną liczbę kandydatów. Ci, co nie mogą dostać się do przybytku wiedzy, uczą się prywatnie i noszą właśnie nazwę „szwedów.“ Dzielą się oni na dwie kategorye: starsi od 15 do 20 lat przygotowują się do egzaminu z czterech klas, ażeby potem zostać urzędnikami lub wstąpić do seminaryum, zwykle jednak egzaminu nie zdają, bo uczą się nie wiele i chętniej grają w bilard lub w karty. Młodsi marzą jeszcze o gimnazyum. Szwedzi obu kategoryj mieszkają razem po 15—20, żywią się głównie produktami przysłanymi przez rodziców, i za rubla lub dwa miesięcznie czerpią mądrość z wykładów uczniów gimnazyalnych. Wielki procent tych biedaków marnuje się i nie osiąga celu. Gdyby chęci do nauki odpowiadała jej liczba szkół, dzisiaj Żmudź mogłaby współzawodniczyć w oświacie z najbardziej cywilizowanymi krajami.

Komisye sanitarne na prowincyi działają bardzo energicznie. W Łodzi skonfiskowano kilkadziesiąt pudów zgniłych śledzi, oblano je naftą i wrzucono... do rzeki. Z pewnością znajdą się rybacy, którzy je napowrót wyłowią i żołądki, które je strawią. Dla głodnego przyprawa z nafty wydać się może nawet smaczną, zwłaszcza, że zabija zapach zgnilizny. W każdym zaś razie jeżeli zgnilizna szkodliwą jest w pokarmach, to również szkodliwą jest i w napoju, czyż więc w Łodzi niema innych miejsc do wyrzucania odpadków? Najciekawszem zaś jest, że w ten sposób zatruwa wodę — policya sanitarna.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 20 sierpnia.

Mowa tronowa odczytana przy zamknięciu parlamentu angielskiego zawiera zaledwie kilka ogólników, z których nawet podczas pory ogórkowej żadnych wskazówek wycisnąć nie można. Wyraża ona tylko nadzieję, że w Sudanie wszystko pójdzie dobrze, oraz, że w sprawie afgańskiej nastąpi porozumienie z Rosyą. Więcej już dowiedzieć się można z przemówień na mitingach członków gabinetu Hicks-Beacha i Churchilla, ale są to rzeczy drobne, główna zaś treść mów, że stosunki przyjazne z mocarstwami zostały zawiązane, przedstawia się nie jasno, bo nie wiadomo o kogo chodzi.

Dotychczas spodziewano się, iż gabinet zachowawczy wejdzie w porozumienie bliższe z Niemcami, nadzieja ta jednak nie bardzo się sprawdza, a przynajmniej pewnem jest, że przyjaźni germańskiej nie zdobywa się pięknemi słówkami ale ceną przeróżnych ustępstw. Jedno z nich zostało już dokonanem. Flota niemiecka przybyła do Zanzibaru i zmusiła sułtana do uznania nabytków kolonialnych we wschodniej Afryce. Anglia opuściła sprzymierzeńca, którego poprzednio pobudzała do oporu.

Chciwość niemiecka sięga po coraz nowe zdobycze. Pozyskawszy od Anglii część Nowej Gwinei i niektóre przyległe wyspy, zamierzyli widocznie Niemcy powtórzyć tę samą sztukę z Hiszpanią i zajęli oddawna do tego państwa należące wyspy Karolińskie. Rząd hiszpański rozkazał dwum okrętom wojennym pospieszyć na obronę zagrożonych posiadłości, ale łatwo przewidzieć, że cała sprawa skończy się na tej demonstracyi.

Zaznaczyć również wypada pogłoskę o zajęciu przez rosyan Kwelpartu w Korei, według wszelkiego prawdopodobieństwa przywłaszczenie to zostało już dokonane; jest to odpowiedź na zabranie przez anglików portu Hamilton.

W Kaszgaryi, leżącej między Chinami i Turkestanem, wybuchło powstanie, na czele jego stanął popierany przez rosyan syn Jakub-beka, który przed kilkunastu laty wypędził chińczyków z tego kraju i rządził samodzielnie. Dopiero po śmierci jego i zaciętej walce Kaszgarya niedawno przyłączona została napowrót do Państwa Niebieskiego.

Jakby dla dostarczenia materyału spragnionym nowin gazetom osławiona komisya graniczna turecko-czarnogórska rozpocząć ma znowu swoje czynności. Rozumie się, że teraz jak i poprzednio działalność jej pójdzie gładko w rozmowach i na papierze, ale kiedy przyjdzie do wykonania, albańczycy staną opornie, będzie może kilka bójek mniej lub więcej krwawych, dużo hałasu o nich, poczem rzecz cała odłożoną zostanie do „lepszych czasów.“ Książę czarnogórski zresztą nie bardzo się kwapi o pozyskanie niechętnych rządom jego poddanych, wolałby on otrzymać znacznie mniejsze wynagrodzenie w Hercogowinie, ale Austrya niema wcale ochoty zrzec się nawet cząstki łupu. Sprawa więc pozostać musi w zawieszeniu aż do czasu zupełnej zmiany stosunków na półwyspie bałkańskim.

Zjazd dwóch cesarzy w Kromieryżu odbędzie się z pewnością. Świadczą o tem przygotowania w pałacu, mianowanie tymczasowego komendanta placu, obostrzenia dla przyjezdnych i inne środki policyjne. Wreszcie burmistrz miasta zapowiedział urzędownie mieszkańcom, żeby przygotowali się do przyjęcia odwiedzin monarszych. Nie wiadomo jednak czy zjazd będzie zwyczajną wizytą, podyktowaną względami grzeczności, czy też przybierze charakter polityczny. Minister rosyjski spraw zewnętrznych p. Giers bawi obecnie u wód, ale w razie potrzeby szybko przybyć może do Kromieryża, tembardziej, że termin zjazdu, jakkolwiek nie ogłoszony publicznie, nie nastąpi podobno tak prędko.

Wojska abisyńskie rozpoczęły już działania w Sudanie, Włochy targują się jeszcze o nagrodę. Najnowsze wiadomości głoszą, że Osman Digma żyje i przybył do Chartumu, oraz że zamyśla ogłosić się następcą Mahdiego, natomiast zabity został Abdullach, bratanice i spadkobierca proroka.

Czterdzieści kilka komitetów bonapartystowskich wybrało na prezesa generalnego Cassagnaca, oraz oświadczyło, że jedynym godnym przedstawicielem idei Cesarstwa jest książę Wiktor Napoleon. Fakt ten nie wywrze jednak żadnego wpływu na rezultat wyborów: czy zgodni czy pokłóceni—bonapartyści nie mają miru i coraz bardziej tracą grunt pod nogami.

BELKA W OKU ALBIONU.

Podniósł się wielki krzyk na szerokim świecie. Redakcya *Pall Mall Gazette*, nie szczędząc czasu, kosztu i pracy swych reporterów, zrobiła w Londynie odkrycie, które przejęło grozą i oburzeniem cały świat ucywilizowany. Ukazała rynki, na których odbywał się handel niedoświadczonemi i niewinnemi dziewczętami, a główny pono zastęp kupujących rekrutował się z pośród inteligencyi i arystokracyi londyńskiej. Współpracownicy powyższej gazety wzięli się do dzieła ostrożnie: tropili zwierza cicho, umiejętnie—tak, że nie tylko go nie spłoszyli, ale nawet prawie zwabili w zastawione sidła. Wykryto, z buchalteryjną systematycznością prowadzone, biura pośrednictwa, zdemaskowano pobożne damy, które trudniły się stręczeniem żywego mięsa—i wykazano, że jatki ich cieszyły się protekcyą i poparciem wysoko postawionych osobistości.

Sprawa ta przedarła się do parlamentu—a przyszłość pokaże, jakie korzyści przyniosła angielskiemu społeczeństwu gorliwość, ofiarowana w uczciwym celu przez redakcyę londyńskiego dziennika.

Podniósł się tedy wielki krzyk, a narody, którym dotąd dumna Anglia z podniesionem śmiało czołem mogła zarzucać niemoralność, prawie z dziecięcem zadowo-

leniem zaczęły na palcu cudzej krzywdy skrobać marchewkę.

Zdaje mi się, że popełniono tu wielki błąd. Zamiast sprawę krytycznie traktować i zastanowić się, czy z cudzych grzechów nie da się wyciągnąć nauka moralna dla siebie—podniesiono sprawę londyńską do wysokości epokowej tragedyi, wyjęto perfumowane chusteczki, i zaczęto ocierać krokodyle łzy współczucia—a ciśle ograniczonej opinii publicznej, korzystając ze sposobności, wywlekli ze swego tandetnego składu wielką, porządnie ociosaną belkę i wstawili ją w bardzo zdrowe skądinąd oko zawstydzonego Albionu.

Zarówno błędy jak i przymioty na gruntach pokrewną ogrzanych cywilizacyą—a taka łączy prawie cały świat obecny—wyrastają mniej lub więcej bujnie. ale że wyrastają, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie wszędzie jednak jest podostatkiem miejsca dla rozwijania się zarówno wielkich cnót, jak i wielkich zbrodni i występków. Społeczeństwa wielkie, posiadają w łonie swem taką skombinowaną różnorodność złych i dobrych instynktów, że wcale nas dziwić nie powinno, jeżeli obok czarnej, dla zbrodniarza wystawionej szubienicy, zobaczymy pomnik człowieka, który całą duszą ludzkość ukochał, a życie swe chętnie—z zaparciem się własnych potrzeb, rzucił na jej żądne wielkich ofiar. ołtarze.

Zarówno więc jak zacne uczynki szukają coraz nowych dróg a zadziwiają wprawą i zręcznością w staraniach około nędzy, tak też i rozpusta staje się przebiegłą, w miarę, jak przechodzi ze stanu początkowego w okresy dalszego rozwoju. Środki szybkiej komunikacyi dały możność lepszego porozumiewania się, łączenia — a że przedewszystkiem zastosowane zostały do stolic, więc też stolice o całą przestrzeń czasu i wielkość rozpusty wyżej stoją od prowincyj.

Tylko ludzie ślepi, lub tacy, którzy nie zetknęli się z drażliwemi stronami życia, mogą bogobojnie wychwalać nasze cnoty; jeżeli zaś damy swobodę umiejętnym poszukiwaniom, bezwarunkowo znajdziemy takież same zupełnie zbrodnie, gwałty i wyszukaną rozpustę w naszej syreniej komórce, jak w salonie nowoczesnego Babilonu — tylko, że mniej liczne. Oto jedyna w tej sprawie różnica. Ale bo też porównajmy wielkość tych dwu miast, bogactwo jednego i umiarkowaną zamożność drugiego — a przekonamy się, że ułamek naszej moralności publicznej jest zupełnie tego samego składu, co całość — londyńskiej.

Kilka dni temu zaledwie rozmawiałem o artykułach *Pall-Mall-Gazette* ze znanym u nas przyrodnikiem, człowiekiem zasługującym bezwarunkowo na wiarę, który mnie upewniał, że przed paru laty, dwa razy, w pewnym odstępie czasu, zaczepiony był na ulicy przez młode jeszcze kobiety, niezawodnie ladacznice, które mu zaproponowały spędzenie przyjemnych chwil w towarzystwie dwunastoletniego, a drugim razem, trzynastoletniego dziecka. Ponieważ jednak mój znajomy w tym kierunku badaniem przyrody się nie trudnił, zgromił więc tylko stręczycielkę i odszedł. Fakt to wcale nie pojedynczy.

Zamiast więc wyszukiwać belek w cudzych oczach, strzeżmy własnych, w których już teraz znalezłby się dało więcej miejsca, niż na parę ździebeł...

Józef Niemir.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Petersburskija Wiedomosti podają dalszy ciąg zwierzeń polskiego konserwatysty, w wielu punktach zgodnych z prawdą, ale odznaczających się jak i poprzednie brakiem poczucia godności.

„Mówiłem już, że Towarzystwo rolnicze otrzymawszy od rządu upoważnienie do dyskusyi nad sprawą włościańską, zajęło się tym przedmiotem nader gorliwie i spokojnie, pomimo, że w kraju zaczynała się już potajemna agitacya, wiejąca z Paryża i zręcznie eksploatująca pomyślną interwencyę Napoleona III w sprawie austro-włoskiej. Idea narodowościowa głoszona teoretycznie przez profesora turyńskiego a później ministra Manciniego, krzewiona przez Cavoura i uświęcona polityką Napoleona, zawróciła głowy młodzieży naszej. Dla rewolucyjnych agentów był to grunt wdzięczny, a ówczesny szef tajnej policyi w Warszawie, Paulucci zachowywał się względem tej agitacyi nie do uwierzenia dobrotliwie i obojętnie. Do sfery Towarzystwa atoli agitacya pomieniona nie przenikała; pracowaliśmy w komisyi nad uregulowaniem stosunków między włościanami a obywatelami.. Jestto rzecz, którą chlubić się mamy prawo. Kiedykolwiek odnajdę w mej bibliotece wiejskiej ówczesne *Roczniki Towarzystwa*, przyślę je panu do obejrzenia, jeśli wola. Sam pan się przekona, jak rozsądnie, oględnie oraz sprawiedliwie traktowało Towarzystwo rolnicze kwestyę włościańską. Margrabia Wielopolski przejął się wypracowanemi przez nas zasadami reformy i ująwszy je w pewne formy, zaczął wprowadzać w życie. Ale nastały już czasy pełne niepokoju; agitacya wzmagała się, zawiązywały się koła, w których wprost głoszono zasadę konieczności organizacyi i powstania, emisaryusze coraz gęściej do nas zjeżdżali, a nie byli to już tylko mierosławczycy ale i tajni delegaci z „hotelu Lambert" od ks. Adama Czartoryskiego, którzy zapewniali, że Napoleon III szczerze sprzyja myśli o niepodległej Polsce, w której widzi „Italię Północy." Opowieści te wywierały silne wrażenie, i powstanie zyskiwało coraz więcej stronników, a nasz program pokojowy. którego, nie bacząc na emisaryuszów, trzymaliśmy się dalej krzepko, stał się przedmiotem zaciętej krytyki. Nie traciliśmy jednak nadziei, że wstrzymamy jeszcze naród od rewolucyi, a niektórzy z nas zawiązywali nawet stosunki z przywódcami agitacyi, mając nadzieję, że zdołają oddziaływać uspokajająco, przekonać tych ludzi, że zamiary ich są próżne i wytłomaczyć im jak olbrzymiem nieszczęściem byłoby powstanie, gdyby się nie powiodło, co zdaniem naszem było całkiem prawdopodobne. Ja sam raz zjawiłem się w kółku rewolucyjnem i wygłosiłem całą mowę pełną argumentów na niekorzyść rewolucyi. Muszę oddać sprawiedliwość zgromadzeniu, wysłuchało ono mnie spokojnie, i wbrew oczekiwaniom nie nazwało mnie ani tchórzem ani zdrajcą.

Po pierwszych rewolucyjnych wstrząśnieniach, Towarzystwo rolnicze zostało zamknięte. We wstrząśnieniach tych atoli my nie uczestniczyliśmy i rozjechaliśmy się po domach, trzymając się przez cały czas zdala od ruchu, pomimo stokrotnie powtarzanych nam, roznamiętniających słów Napoleona. Ta jednak podnieta, połączona z późniejszemi notami państw obcych, wreszcie ruchliwa działalność agitacyjna konsulów angielskiego i austryackiego w Warszawie, wszystko to razem wzięte zachwiało niektórymi i znaleźli się tacy, którzy uwierzyli potrosze w możność oswobodzenia kraju od obcej gospodarki; swoją drogą wszelako ani jeden z bardziej wpływowych członków b. Towarzystwa rolniczego czynnego udziału w ruchu rewolucyjnym nie przyjmował i siedząc na wsi po domach, teroryzowani tylko byliśmy to przez oddziały powstańców, przeciągających przez nasze majątki, to przez wojska rosyjskie... Kiedy jednak powstanie zostało stłumione, my właśnie szlachta, mieliśmy odpowiadać en première ligne. Milutyn, a nadewszystko Czerkaski, w nas dopatrzyli główną podporę rewolucyi, choć, powtarzam, sprzeciwialiśmy się jej zanim wybuchła, a kiedy wybuchła, byliśmy wówczas tylko biernymi jej widzami. Grzechy emigracyi, Napoleona, młodzieży i ludności miejskiej wypadło przypłacić nam, szlachcie, obywatelstwu. Reforma włościańska, tak rozumnie przez nas poczęta i po części wprowadzona wedle naszych wskazówek, zgodnych zupełnie z warunkami życia kraju naszego. w sposób szorstki została zwrócona przeciw nam i względy polityczne usunęły na plan ostatni wszystkie ekonomiczne strony tej ważnej sprawy. Nadać grunta włościanom. dać im własność, była to rzecz, którą wszak oddawna zdecydowaliśmy; ale komitet urządzający i komisarze włościańscy nietyle ten jedyny cel właściwy mieli na względzie, ile wprost zrujnowanie szlachcica polskiego, pomimo, że szlachcic ten jest przedstawicielem zasady konserwatywnej, a wzbogacenie chłopa, pomimo, że ten pod względem politycznym stanowi pierwiastek jeszcze całkiem niewypróbowany. W tym celu powykrawano jak najrychlej w wielu majątkach grunta dla włościan; dobra traciły na wartości po 70 i 80 procent; w niektórych racyonalne gospodarstwo stało się niemożebnem skutkiem poćwiertowania gruntu w szachownicę i ciężarów serwitutowych; dalej, ziemia była taksowana niżej wartości, a płacono za nią nie pieniędzmi, tylko listami likwidacyjnemi, notowanemi na giełdzie po 60 za 100. W skutek takiej praktyki, wielu z pośród nas znalazło się nazajutrz po powstaniu, do którego ręki nie przyłożyli, nędzarzami, chłop zaś otrzymał niespodzianie podarunek, z którym nie umiał sobie radzić jak należy, bo przejęty myślą, że wszystko może dostać mocą ukazu, ciągle wyczekiwał dalszych podarunków od rządu; że zaś oczekiwaniu temu zadość stać się nie może, więc rozczarowanie prędzej lub później nastąpić musi i wszelkie rachuby na niespożytą wierność chłopa względem rządu rosyjskiego okażą się wtedy wątłemi, bo chłop nasz nieprędko zrozumie, jakie interesa mogą nakazywać polakowi trzymać się konserwatywnych szlaków w kwestyi stosunków istniejących między Polską a Rosyą."

Po tych zwierzeniach nastąpiła między dwoma „politykami" rozmowa.

„...W następnym liście — zapowiada korespondent — przytoczę wam treść i tej rozmowy. Od oponowania jego (obywatela) *chytrym* i widocznie jednostronnym opowieściom wstrzymałem się, pragnąc, aby się w całości wywnętrzył..."

W przeszłym numerze podaliśmy uwagi *Moskowskich Wiedomosti* w sprawie wydalenia z Prus poddanych rosyjskich, teraz podajemy odpowiedź *Graždanina* na ten artykuł:

„Wszyscy rosyanie *jako rosyanie*, ni mniej ni więcej tylko są pod dozorem.

Prawda, że wysyłani są stamtąd polacy i żydzi, rosyjscy poddani. Ale wbrew twierdzeniu *Mosk. Wied.* wysyłają ich nietylko kiedy nie mają paszportów w porządku, ale przeciwnie i tych, co są w posiadaniu najlegalniejszych paszportów, to jest kiedy przez władze pruskie powinni być uważani za takich samych poddanych rosyjskich, jak wszyscy inni.

Przytaczając znane szczegóły o wysiedleniu dwóch studentów i lekarza, *Graždanin* dodaje:

„Rozporządzenie brzmi: „bezwarunkowo ausweisen." To było jednak do przewidzenia, że nie mogąc „ausrotten," prusacy chwycą się wszelkich środków wiodących częściowo, powoli, przy zimnej, rybiej flegmie do tego samego celu. Co prawda nie spodziewali się zapewne, że znajdą i dla takiej praktyki sympatyczne odgłosy w organach prasy rosyjskiej, i że aby jeden dziennik rosyjski zawoła: „Wypędzacie polaków? Brawo! W imieniu naszych „słowiańskich" interesów sto razy brawo!" Stało się tak jednak.

W dalszym ciągu *Graždanin* zbija faktami twierdzenienie korespondenta *Mosk. Wiedomosti*, że wysyłają tylko rewolucyonistów lub przestępców:

„Przybyły z Rosyi lekarz był *komenderowany* przez rząd dla studyowania medycyny w Niemczech, co było zapisane na jego paszporcie. Mimo to otrzymał od prusaków na piśmie pogróżkę, że będzie wysłany siłą jeżeli po upływie 6 miesięcy nie opuści dobrowolnie „das diesseitige Gebiet."

Może kto powie, że władze pruskie miały powody patrzeć podejrzliwie na tego lekarza, albo na inne osoby ze względów paszportowych? Być może; ale wtedy prosta uprzejmość nakazywała znieść się z rządem rosyjskim, jednak o tem nie słychać, tak samo jak nie słychać również, aby nasi przedstawiciele w Prusach zainteresowali się w jaki sposób, dlaczego, z jakich powodów wypędzani są przez prusaków studenci lub lekarze wysyłani do Niemiec przez władze rosyjskie? Gazety niemieckie obawiają się, aby rosyanie nie chcieli zapłacić niemcom tą samą monetą. Obawy te są płonne; ale nie wadziłoby popatrzeć trochę za niemcami, którzy na dłużej do nas przyjeżdżają. A bywają wśród nich goście naprawdę ciekawi.

Niedawno — pisze dalej korespondent *Grażdanina* — dowiedzieliśmy się, że współcześnie z temi brutalnemi grubiaństwami pruskiemi, we wsi Paszyno, gdzieś pod Moskwą, urządzone zostało coś w rodzaju rosyjskiej akademii dla prusaków! Tylko co przyjechał tam już *trzeci* pruski oficer... Naturalnie ciekawa rzecz, dlaczego pp. pruscy oficerowie jadą tak daleko do zapadłej wioski w samym środku Rosyi. Ano dla nauki języka rosyjskiego! Tak jest, i uczą się go tam od „dobrego popa." Toż przy dobrych chęciach i tutaj, w Berlinie, moglibyśmy ich rosyjskiego języka wyuczyć. Ale cóż, kiedy oni życzą sobie koniecznie uczyć się *na miejscu*...

I dodać należy, że ci pruscy filologowie wojskowi, ci namiętni uczniowie języka rosyjskiego *na miejscu*, przy naszej sławetnej dobroduszności doznają najuprzejmiejszych ze strony władz naszych względów. Jeden zaś z tych zapalonych językomanów, tutaj w Berlinie, ma na ustach tylko przechwałki, że *po drodze* do Paszyna i z Paszyna wszystko widział, wszystko rozejrzał i spenetrował w tej „kunstkamerze," którą zowią Rosyę."

RADA KOLEJOWA.

Nowa ustawa dla dróg żelaznych, o której mówiliśmy w numerze poprzednim, wprowadza specyalny organ władzy—radę kolejową, mającą być najwyższą instancyą dla zarządów dróg oddzielnych. Dla rozstrzygania wszelkich spraw, dotyczących budowy, eksploatacyi i gospodarstwa dróg żelaznych przy ministeryum komunikacyi utworzoną zostaje rada dla spraw kolejowych, w skład której wchodzą nie tylko urzędnicy ale i przedstawiciele społeczeństwa, rozumie się, wybrani przez władzę. Prezyduje w radzie minister, członkami zaś jej są: wyżsi urzędnicy ministeryum komunikacyi, przedstawiciele wydziałów: skarbu, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, dóbr państwa, wojny i kontroli, oraz po dwóch przedstawicieli dróg żelaznych prywatnych, handlu i przemysłu, rolnictwa i górnictwa. Prawodawca pragnął widocznie, ażeby wszystkie gałęzie wytwórczości, na rozwój których wpływać mogą drogi żelazne, miały obrońców swych interesów, wątpić jednak można czy powołanie 8 członków zadość uczyni temu zadaniu, zwłaszcza, że liczba ich głosów zawsze mniejszą będzie od liczby głosów rządowych. Oprócz tego, gdyby nawet ci przedstawiciele byli jak najwłaściwiej wybrani, nie będą oni posiadać znajomości warunków miejscowych. Rolnictwo np. w Rosyi posiada tak różnorodne potrzeby w pojedynczych prowincyach, że dwóch ludzi powołanych do składu rady nie mogą mieć o nich dokładnego pojęcia. Zwiększenie zaś liczby członków zrobiłoby znowu z instytucyi administracyjnej jakiś parlament kolejowy. Liczba delegatów rządowych nie może być zmniejszoną, ponieważ państwo interesują rozmaite strony działalności dróg żelaznych, i zresztą w wielu wypadkach występuje ono jako przedsiębiorca. Rada dróg żelaznych posiadać będzie bardzo obszerny zakres władzy, jest ona bowiem nie tylko administracyjną ale i prawodawczą instancyą. Wszystkie projekty nowych praw, dotyczących budowy, eksploatacyi i gospodarstwa dróg żelaznych podlegają dyskusyi w łonie rady i dopiero z jej uwagami przechodzą do Rady państwa. Ma ona także prawo samodzielnie wydawać instrukcye, objaśnienia i uzupełnienia istniejących przepisów, oraz zatwierdza taryfy i taksy opłat dodatkowych. Słowem rada kolejowa otrzymała możność swobodnego i energicznego działania, i tylko od składu jej członków zależyć będzie: czy rozwinie pożyteczną czynność, czy też zagrzęźnie w rutynie biurowej.

L.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Z teatrzyków. Przedstawienie *Lisa w kurniku* pięcioaktowej komedyi p. Zalewskiego, w Eldorado, przez trupę p. Puchniewskiego, nie przyniosło pożytku autorowi. Atmosfera ogródkowa nie sprzyja wystawianiu komedyj pisanych na seryo, dla których dobrego wykonania potrzebny jest teatr zamknięty i wybitne siły aktorskie. Sztuka p. Zalewskiego osnutą jest na stosunkach prowincyonalnych, malowanych wiernie i z talentem. Autor splótł zręcznie dramat z satyrą, nakreślił kilka postaci bardzo dobrze, ale nadto rozbił bieg akcyi na pojedyncze epizody, i niektóre z nich traktował zbyt szeroko. Nowy efekt palenia się stogu na scenie nie wyzyskany należycie, tak że wydaje się zbytecznym. Trzy ostatnie akty sztuki są zajmujące, chociaż 4 ty potrzebuje skróceń. Sztuka zresztą ma za dużo dobrych rzeczy, aby mogła skończyć swą karyerę w ogródku. Po usunięciu efektu pożaru, zbyt ryzykownego dla teatru w dzisiejszych czasach paniki, powinna się ona ukazać na deskach głównej sceny, a wtedy poświęcimy jej bliższą uwagę. Wśród znośnego wogóle wykonania odznaczyła się pełna zdolności gra p. Antoniewskiego, który posiada warunki na salonowego amanta, oraz pp. Szymborskiego, Sosnowskiego i Królikowskiego grających tak, że na większej scenie możnaby ich widzieć z przyjemnością...

Stowarzyszenia kredytowo-przemysłowe. W Królestwie istnieje 5 stowarzyszeń kredytowo przemysłowych: w Warszawie, Łodzi, Lublinie, Łomży i Radomiu; wkrótce powstać mają podobne instytucye w Kielcach i Włocławku. Oprócz tego w Grójcu, Kutnie i Wiskitkach znajdują się towarzystwa kredytowe, oparte na tych samych zasadach ale przeznaczone nietylko dla miast lecz i dla całego powiatu. Wszystkie te spółki liczą 7170 członków i posiadają 612,000 rs. własnego kapitału.

Iwan Naumowicz, zdecydował się przyjąć prawosławie, obrzęd ten odbędzie się w Kijowie d. 26 sierpnia.

Ulga. Przewóz tytoniu z plantacyj oraz składów do fabryk, na mocy nowego postanowienia Komitetu ministrów, odbywać się może w razie nieobecności urzędników akcyznych za świadectwami zarządów gminnych, w ilości dowolnej.

Zaburzenia. W Odessie powtórzyły się na niewielką skalę zaburzenia anty-żydowskie, w Kremenczugu zaś tłum zniszczył i zrabował piekarnie, utrzymywane przez turków. Wypadki te przeszły niepostrzeżenie.

Posągi Mickiewicza i Kopernika staną na bulwarach w Antwerpii, w szeregu 100 pomników wielkich ludzi.

Praktyka aptekarska, którą każdy farmaceuta obowiązany jest odbyć w ciągu lat trzech przed uzyskaniem stopnia podaptekarza, ma być przedłużoną do lat 6.

Przekłady. Nowelka A. Dygasińskiego p. t. *Na pańskim dworze* przetłomaczona została na język niemiecki.

Vambery, znany badacz Wschodu wydał nowe dzieło p. t. *Przyszła walka o Indye*.

Odkrycie. Pod Goldbergiem w pobliżu Lignicy na Szląsku znaleziono żyłę złota.

Skandal. W Liworno policya wykryła, że w ochronie dla dziewcząt chrześciańskich utrzymywanej przez księdza Bruzza i kilka zakonnic, bywają znani w mieście rozpustnicy. Śledztwo wykazało, że zakonnice wraz z przełożonym oddawały się rozpuscie i wciągały do niej powierzone ich opiece dzieci. Wszystkie dziewczynki, nawet 9 letnie pozbawione były niewinności, a jedna czternastoletnia zaszła w ciążę.

Wystawa na cześć Krzysztofa Kolumba ma się odbyć w Genui, rodzinnem jego mieście. Nadto istnieje plan założenia w 400 letnią rocznicę odkrycia Ameryki wielkiego muzeum, w którem pomieścić się mają wszystkie dokumenty i pamiątki, mające jakikolwiek związek z życiem Kolumba.

Bogini wolności, dzieło Bartholdego, posąg podarowany Zjednoczonym stanom Ameryki półn., przybył szczęśliwie do Nowego Yorku. Kwotę 100 tys. dolarów, potrzebną na ustawienie tej olbrzymiej statui, już zebrano.

Międzynarodowy kongres dla prawa handlowego otwarty zostanie dnia 27 września b. r. w Antwerpii. Weźmie w nim udział 20 członków mianowanych w tym celu przez króla belgijskiego, tudzież delegaci różnych państw i stowarzyszeń. Głównym celem kongresu jest ujednostajnienie o ile możności stosunków handlowych wszystkich krajów, ewentualnie odbędą się obrady, jakimi środkami cel ten dałby się osiągnąć. Kongres składać się będzie z dwóch sekcyj; mian. dla prawa morskiego i wekslowego.

Wyprawa naukowa. Z Pesztu wyruszyła w tych dniach wyprawa, składająca się z 7 członków, na Wschód. Wyprawa ta zwiedzi cały Bałkan w celu studyów ekonomicznych, archeologicznych, geologicznych i historycznych, i potrwa trzy miesiące. Jest to wyprawa specyalnie węgierska i otrzymała od tamtejszego rządu subwencyę.

Bibliografia polska. Baraniecki M. A. dr. *O funkcyach Bernouillego* (wyd. Ak. umiej.) Kraków.

— Bieroński W. *Czary i zabobony* wobec religii i nauk przyrodniczych. Kołomyja.

— Breza A. *Le Play i jego szkoła* Kraków.

— Brownsford B. *Podręcznik* do racyonalnego żywienia zwierząt gospodarskich. Warszawa.

— Buszczyński St. *Rany Europy*, statystyczne fakta. Poznań.

— Chociszewski J. *Gawędy starego leśniczego*. Poznań.

— *Chwila* polityczno-społeczno-ekonomiczno-literacka (jednodniówka satyryczno-literacka z rycinami). Lwów.

— Cieszkowski Ż. *Obce głosy o Matejce*. Kraków.

— Ćwik W. *Przeszłość towarzystwa polskiego* bratniej pomocy i Czytelni polskiej w Czerniowcach. Czerniowce.

— Cybulski N. dr. *Słów kilka* o wynikach badań dokonanych za pomocą fotohemotachometru. Kraków.

— Cyfrowicz L. dr. *O ubóstwie* ze stanowiska administracyjnego. Kraków.

— Derdowski H. *Oracyjo pożegnalno* dla pana Feliksa Czorlińściego itd. Toruń.

— Fraulec J. N. *Rozwój* pojęć naszych o kształcie i wielkości ziemi. Lwów.

— Gorczyński A. *Dramaty*, serya III. Kraków.

— Gromnicki T. dr. *Synody prowincyonalne* itd. w Polsce do r. 1357. Kraków.

— Jerzykowski prof. *Słownik ortograficzny*. Poznań.

— Klatecki J. *Drzewa w mitologii i podaniu*. Poznań.

— *Promieniści* Poznań.

— Kwieciński L. *Lorenzo i Jessyka*, fraszka scen. Lwów.

— Leliwa L. P. *Jan Sobieski i jego wiek* tom IV. Kraków.

— Łoś A. dr. *Medytacye*. Kraków.

— Mickiewicz A. *Dzieła* t. II, III. Lwów.

— Piekosiński Fr. dr. *Prawa, przywileje i statuta* m. Krakowa 1507—1795 t. I. zesz. I. (Ak. umiej.). Kraków.

— *Rocznik* zarządu akademii umiejętności r. 1884. Kraków.

— Rogosz J. *Dla idei* 2 t. Lwów.

— Rotter J. prof. *Nieco o ustroju* szkół średnich. Kraków.

— Rzążewski A. *Złoty wiek literatury* Dubrownika (Ak. umiej.) Kraków.

— Smoleński W. *Kuźnica Kołłątajowska*. Kraków.

— Sokołowski A. dr. *Archiwum domu Radziwiłłów*: Listy ks. M. K. Radziwiłła-Sierotki, J. Zamoyskiego, dwa Sapiehy (Script. rer. pol. t. VIII). Kraków.

— Tarnowski St. *Szujskiego lata szkolne*. Kraków.

— Tuczyński F. X. *Dziedzic na pustkowiu.* Poznań.

— Windakiewicz St. *Nieznane szczegóły* o rodzinie Kochanowskich. Warszawa.

— Wołyniak. *Spis szkół* w grodzieńskiej gubernii na pocz. 19 w. Poznań.

— Zipper A. dr. *Herder jako pedagog.* Lwów.

Otwarcie Banku szlacheckiego nastąpi we Wrześniu. Instytucya ta, mająca na celu utrzymanie własności ziemskiej w rękach szlachty, działać będzie w całem państwie rosyjskiem z wyjątkiem Królestwa i gubernij nadbałtyckich. Pomimo protestów *Kijewlanina* i *Wileńskiego Wiestnika,* obywatele ziemscy polacy korzystać będą z kredytu na równi z innymi.

Rada państwa rozpatrywać będzie projekt specyalnej komisyi o zniesieniu wszelkich rang cywilnych.

Wzór języka. Jedno z pism zamieszcza ogłoszenie zredagowane w ten sposób: „Przyjmuje zamówienia i *podrady* na dostawę rękawiczek łosiowych dla służby *policejskiej* itd.

Emigracya żydowska z Cesarstwa wzrasta, z jednego Berdyczowa wyjechało w maju r. b. 57 rodzin, liczących około 200 osób. Połowa wychodzców udała się do Palestyny, połowa do Ameryki.

Fortyfikacye Krakowa postanowiono wzmocnić przez budowę kilku nowych fortów. Odpowiednie roboty już rozpoczęto.

Ludność Konstantynopola według ostatniego spisu wynosi 870,000 osób, w połowie mahometan.

Statystyka. Królestwo Serbskie liczy 1,860,000 mieszkańców.

Zmarli. Józef Wojzbun b. profesor Instytutu agronomicznego w Marymoncie.

— Curtius, sławny filolog niemiecki.

— Warsaae b. minister duński, znany archeolog.

— Buonfanti, podróżnik po Afryce.

— Jan Wańkowicz, obywatel z gubernii mińskiej, uczony entomolog.

— Władysław Piotrowski, b. oficer 2 pułku ułanów w r. 31, w Jezierzanach.

— L. Werder, wynalazca karabinów nazwanych według jego imienia, w Norymberdze.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. St. Kleinowi st. m. Na zasadniczą myśl artykułu pańskiego, że lekarze powinniby czuwać nietylko nad chorobami, ale i nad zdrowiem ludzi—zgadzamy się zupełnie. Ale wykonanie projektu, ażeby „każdy mieszkaniec zobowiązał się mieć swego stałego lekarza," wynagradzanego przez państwo z osobnego podatku—jest dziś niemożliwem. Jak książka, jak wino, jak podróż—tak i lekarz jest dotąd dla mas biednych zbytkiem. Najlepszego dowodu dostarczają nam fabryki, posiadające lekarzy dla swych robotników, nie oglądanych często w chorobie, a nigdy we względnem zdrowiu.

St. Jan. Adresu p. Nossiga nie znamy. Biografia Giordana Bruno napisana przez Bartholomèsa po francusku (Paryż 1846—7).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Августа 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.